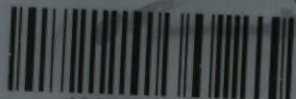




Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297856










REWIZYA TEORYI  
O PIERWOTNEM OSADNICTWIE W POLSCE

---

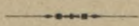




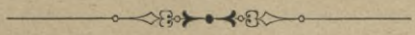
OSWALD BALZER



REWIZYA TEORYI  
O PIERWOTNEM OSADNICTWIE  
W POLSCE



(Odbitka z Kwartalnika Historycznego Rocznik XII Zeszyt I)



LWÓW  
NAKŁADEM AUTORA.  
1898



II 42117

Alm. Nr. II 421/61



# REWIZYA TEORYI O PIERWOTNEM OSADNICTWIE W POLSCE.

---

Piekosiński Franciszek: *Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej*. Kraków, nakładem własnym 1896. Lex-8<sup>o</sup> str. 151. Osobne odbicie z tegoż autora: *Studyów, rozpraw i materyałów z dziedziny historii polskiej i prawa polskiego* T. I. Kraków 1897.

---

W jednym z końcowych rozdziałów swej pracy zestawia autor i rozpatruje częściowo dotychczasową literaturę, przedmiotowi niniejszemu poświęconą. Po usunięciu kilku, cennych zresztą prac nowszych, poświęconych historii włościanstwa polskiego w ostatnich wiekach istnienia Rzpltej, które tutaj nie należą, pozostało niewiele innych: prawie że jedynie tylko Lubomirskiego rzecz o jurysdykcyi patrymonialnej, posiadająca i dzisiaj jeszcze pewną wartość naukową, jakkolwiek niewystarczająca już ze względu na nowo zgromadzone wiadomości źródłowe; tudzież Małeckiego praca o ludności wolnej w księdze Henrykowskiej, dotykająca tylko części całego pytania. Gdyby dodać jeszcze pominięte przez autora studia Smolki, zawarte w odpowiednich wstępach jego pracy o Mieszku Starym, tudzież Bobrzyńskiego w rozprawie o Genezie społeczeństwa polskiego, to przecież okaże się, że nie było dotąd dzieła, któreby w całości i wszechstronnie sprawę organizacyi stanu włościańskiego w najdawniejszej dobie dziejów naszych rozjaśniło. Jedyna rzecz, jaka miała do tego pretensyą, praca Maciejowskiego, pozostanie na zawsze tylko pomnikiem nieudolnego gawędziarstwa jej autora, i wzorem, jak dzieł naukowych pisać nie należy; ani dziś, ani nawet w chwili jej pojawienia się, nie uczyniła ona choćby

w drobnej części zadość potrzebom nauki, a prof. Piekosiński wyświadczył jej za dużo zaszczytu, mozołąc się w dłuższym ustępie nad wykazaniem jej stron ujemnych. Historia ludności wieśniaczej za Piastów była zatem ciągle jeszcze do napisania; stanowiła ona jeden z najważniejszych i najpilniejszych postulatów naszej nauki; jak słusznie bowiem podniesiono już dawniej, i jak trafnie zaznacza też sam autor, stanowi ona konieczną podstawę do wyjaśnienia całej pierwotnej organizacji społeczno-politycznej państwa polskiego. Że jej dotąd nie napisano — przyczyna tego leży w wielkiej zawilóści pytania i trudnościach opanowania przedmiotu; że prof. Piekosiński podjął się pierwszy opracowania tego przedmiotu na szerszą skalę, wgląd i wszczep i w całości, w tem jego rzetelna wobec nauki zasługa, nieumniejszona nawet przez to, że przeciw niektórym jego wywodom i zapatrywaniom wypadnie podnieść protest.

Ścisłe rzecz biorąc, nie mamy tu jeszcze historii wszystkich bez wyjątku warstw ludności wieśniaczej, jakie się wytworzyły i rozwinęły w Polsce Piastowskiej. Dzieje osadnictwa niemieckiego i organizacyą kmieci-czynszowników na prawie niemieckiem wyłączył autor do osobnej, w przyszłości ukazać się mającej pracy, co zresztą uważamy za rzecz słuszną i uzasadnioną; osadnictwo na prawie niemieckiem wnosi bowiem w rozwój stosunków włościńskich w Polsce, zarówno pod względem gospodarczym jako też i społecznym, elementy w przeważnej części nowe, i dlatego zasługuje na osobne rozpatrzenie. Jeżeli mimo to autor w dziale o ciężarach prawa ksiązęcego mówi też o kolektach, ściąganych z osadników we wsiach na prawie niemieckiem, albo w dziale o służbie wojennej rozpatruje też obowiązki wojskowe sołtysów, to można w tem dopatrzeć się pewnego wykroczenia poza właściwe, rozprawie zakreślone granice, podobnie jak n. p. w ustępach, poświęconych służbie wojennej rycerstwa-szlachty lub organizacyi sądownictwa kasztelańskiego nie tylko w sprawach ludności wieśniaczej, ale też i innych wyższych stanów. Ostatecznie jednak trzeba być nudnym pedantem, ażeby przecież nie podziękować autorowi i za to *plus*, koniecznie tutaj nienależące, a przecież nieraz w spostrzeżeniach ciekawe i naukowo ważne. Właściwy zrąb pracy stanowi historia i organizacya tej grupy ludności włościńskiej, która istniała w Polsce jeszcze przed kolonizacyą niemiecką, a więc tej, która wzięła udział w pierwotnej formacyi społeczeństwa polskiego. Dzieje jej stara się autor rozświetlić wszechstronnie: nie ogranicza się do przedstawienia tego tylko stadyum jej rozwoju, jaki się odbija w najstarszych naszych źródłach z XII i XIII stulecia, ale sięga do prawnieku, i drogą wstecznego wnioskowania, często może nazbyt hypotetycznego, wyjaśnia sprawę jej pierwotnego osiedlenia się w ziemiach polskich w wieku VI po Chr.; rozpatruje też późniejsze koleje tej ludności, już nawet z tego okresu, kiedy się poczęła i na szeroki rozmiar rozwinęła kolonizacya niemiecka, obok której równolegle dokonywały się też ważne

przemiany w organizacji pierwotnej klasy ludności wieśniaczej. Co do organizacji samej, porusza wszystkie zasadnicze pytania, jakie się tu nasuwają: mówi naprzód o samym sposobie pierwotnego osiedlenia i jego wpływie na stosunki gospodarcze tudzież urzędzenia prawne włościan; wydziela i odgranicza od siebie kilka osobnych, pod względem prawnym zróżnicowanych grup tejże ludności, jakie spotykamy za Piastów, stara się wyjaśnić przyczyny tego odgraniczenia i genezę każdej grupy z osobna; rozpatruje szczegółowo ciężary prawa książęcego, którym ludność ta podlegała, więc zarówno daniny jak i posługi publiczne, jako też powinności wobec panów prywatnych, w których posiadanie z biegiem czasu się dostała; omawia jurysdykcją, zarówno publiczną jak i prywatną, której podlegała; wyjaśnia jej stosunek prawny do ziemi, przez się zasiedlonej, a w związku z tem także podaje historią pierwotnych miar gruntowych, w Polsce używanych; w końcu porusza także sprawę wyższych stopni organizacji ludności wieśniaczej, więc — związku opolne, urzędzenia dziesiątkowe i setkowe. Widzimy — autor nie cofnął się przed żadnym pytaniem, jakie w ogóle nastęrczał postawiony przezeń temat; cała praca, w ujęciu i przeprowadzeniu, stanowi studjum pod każdym względem wszechstronne.

Przystępując do krytycznego rozbioru wywodów prof. Piekosińskiego, znajduję się na wstępie w niemałym kłopotcie, natyłam bowiem na samym początku rozprawy na twierdzenie, o którego trafności, opierając się na dzisiejszych wynikach nauki, mam słuszne powody powątpiewać, o którym jednak nie czuję się na siłach rozprawiać z potrzebnem przygotowaniem i dostateczną siłą argumentacji. Jest to twierdzenie, jakoby szczepy polskie tudzież najbliżej im pokrewne szczepy połabskie (razem wzięci, t. z. »Lechici«) przybyły w wieku VI po Chr. do obecnych swoich dziedzin między Notecią, Wisłą i Odrą (wnet potem Łabą) wprost z Azji. Ograniczam się do stwierdzenia, że według wyczerpującego zestawienia wyników, do jakich doszła najnowsza prehistoria, archeologia i filologia porównawcza, podanego w cennej pracy Kreka, Słowianie dawno już przedtem siedzieli we wschodniej Europie, z czem wędrowkę szczepów polskich i połabskich do późniejszych ich dziedzin w wieku VI nie można wyprowadzać wprost z Azji, ale z etapy o wiele bliższej. O ten szczegół niechaj się zresztą autor rozprawi z archeologami i lingwistami.

Jako najstarszą formę zasiedlenia Polski, sięgającą owych czasów, kiedy ludność polska przybyła do dzisiejszych swych dziedzin, a więc wieku VI po Chr., uważa prof. Piekosiński wieś t. zw. ojczycowe. Pod nazwą tą obejmuje zarówno grupę wsi z końcówkami patronimicznymi na *-ice*, jak Dalechowice, jako też grupę wsi z przyrostkami dzierżawczymi na *-ów*, *-owa*, *-owo*, *-owy*, *-yn*, *-in*, *-yna*, *-ina*, jak Dalechów i t. p. Sam fakt osiedlenia łomaczy sobie w obu wypadkach w jednakowy sposób; jeżeli pierwszym osadnikiem w danej miejscowości był Dalech (wraz z swoją rodziną), natenczas miejscowość tę nazywano Dalechów stan, czyli

po krótko Dalechów. Jeżeli natomiast Dalech zmarł w czasie wędrówki z Azji (tak!) do dzisiejszych krajów polskich, i fakt osiedlenia dokonany został przez pozostałych jego synów, a więc potomków Dalecha czyli Dalechowiców, natenczas odnośną miejscowość nazywano: Dalechowice. Pierwszy sposób osadnictwa (-ów) uważa za bardziej upowszechniony aniżeli drugi (-ice), ile że ilość miejscowości z końcówkami dzierżawczemi, jakie się na obszarze rdzennej Polski dochowały do naszych czasów, jest przeszło dwa razy większą, aniżeli ilość wsi z końcówkami patronimicznymi (przeszło 8000 przeciw około 3000). Początek wsi obu kategorii przypisuje on zatem tylko osiedleniu rodzin w ścisłym tego słowa znaczeniu, t. j. głowy rodziny (ojca) wraz z jego potomstwem, obejmującym, w zwyczajnych warunkach, co najwyżej dwa dalsze, wprost od niego pochodzące pokolenia. W tem idzie autor za utartem od dawna zapatrywaniem historyografii naszej. Pytania, czy genezy rzeczonych osad w prawięku nie należy odnieść do zasiedlenia rodów, złożonych z większej ilości rodzin, nawet nie porusza. A jednak rzecz ta zasługuje co najmniej na bliższe rozpatrzenie, bo to, co z dotychczasowych badań o pierwotnem osadnictwie polkiem wiemy, nie usuwa następczących się w tej mierze wątpliwości ani w części. Wyniki, do jakich doszła najnowsza nauka etnologii i porównawczej historyi prawa, wykazują, że ludy pierwotne organizują się rodami, i że rody wspólnemi siłami podejmują pracę gospodarczą. W przeważnej części rzecz taka staje się prostą koniecznością: w ciężkiej walce z nieużytą zrazu przyrodą, której wydrzeć należy środki utrzymania, siły jednostki, a chociażby i najbliższej jego rodziny (jej dzieci), zazwyczaj nie wystarczają. Autor sam stwierdza, jak ciężkie warunki bytu znaleźli osiedleńcy słowiańscy w nowej swojej ojczyźnie, lesistej i jeziorzystej, z wyłaniającemi się ledwo tu i ówdzie polankami, z których, jeśli się tu osiedlono, trzeba było podjąć ciężką pracę karczunku lasów, osuszania moczarów. Miałże tej ciężkiej pracy podołać sam jeden ojciec rodziny, w najlepszym razie wspólnie z dorosłymi, jeśli ich miał, synami? Czy nie lepiej było, jeśli się tuż obok siebie osiedlił od razu cały ród, lub przynajmniej pewne jego, bliższe sobie gałęzie, i pracę tę od razu wspólnemi siłami rozpoczęli? U innych ludów słowiańskich zasiedlenie rodowe, nie jednostkowe, jest rzeczą niewątpliwą, lub przynajmniej najprawdopodobniejszą; niewątpliwą n. p. u Słowian południowych, bardzo prawdopodobną u Czechów, jak to dziś bardzo wymownie wywodzi Lippert. Dlaczegoż w Polsce należałoby koniecznie przyjąć odmienny sposób osadnictwa? Wszakże, jeżeli nawet staniemy na gruncie dotychczasowej teorii, którą wyznaje sam autor, będziemy mogli stwierdzić, że jeszcze w Polsce historycznej sposób zasiedlenia wsi rodami ma zastosowanie: są to t. zw. wsie wojskowe czyli włódcze, jak Dmochy, Bolesięta, Ćwiki, Kurozwęki i t. p., których powstanie autor odnosi do wieku XII, a co do których nikt nie wątpi, że im dało początek osiedlenie całego rodu, lub przynajmniej pewnych jego większych

odgałęzień. Cokolwiek sędzić będziemy o motywach i celach zakładania tych osad, przyznamy, że jeśli jeszcze w tym czasie związek rodowy podać miał klucz do rozwiązania pewnych zadań kolonizacyjnych, to tem bardziej mógł on wprawku służyć tu za podstawę do osiągnięcia chociażby innych, ściśle gospodarczych celów. Szczałków rodowego zasiedlenia wsi polskich, i utrzymującego się jeszcze gdziegdzie, mimo upływu sześciu lub siedmiu wieków, wspólnego rodowego pożycia, doszukać się możemy nawet w źródłach XII i XIII wieku. W bulli gnieźnieńskiej z roku 1136 wymieniono rozmaite darowizny w ludności wieśniaczej na rzecz katedry św. Wojciecha, między innymi także: *Gnevos cum fratribus, Tmina cum fratre*, i t. d. Widocznie ów z imienia podany wieśniak siedzi na wspólnym gospodarstwie z braćmi, inaczej każdy z nich, jako głowa osobnego gospodarstwa, zostałby wymieniony z osobna; że zaś nie jest to tylko chwilowa wspólność, utrzymywana, jak zwykle później, na krótki czas tylko po śmierci ojca pomiędzy młodszem jego potomstwem, dowodzić się zdaje dalsza pozycja rejestru: *Russota cum filiis et fratribus*, wskazująca, że ten Rusota to mężczyzna dorosły, który sam już założył nową rodzinę i doczekał się potomstwa, a przecież wspólnego pożycia gospodarczego z braćmi nie zerwał. Dlaczego z imienia podano tylko Gniewosza, Tminę, Rusotę, nie zaś także ich braci, odgadnąć łatwo, biorąc za podstawę analogią, jakiej nam dostarczają urządzenia innych ludów słowiańskich; byli to snąc naczelnicy, czyli starostowie rodu, prowadzącego wspólne gospodarstwo. W innych dokumentach czytamy wzmianki o darowiznie chłopca *cum tota generatione*, co nie oznacza nic innego, jak tylko darowiznę całego na wspólny rachunek gospodarującego rodu wraz z jego naczelnikiem-starostą z imienia podanym; jeżeli bowiem chodzi o darowiznę jednej tylko rodziny chłopskiej, natenczas wyrażają się też same dokumenty, iż darowany został odnośny chłop bądź tylko sam, bądź co najwięcej *cum filiis suis*.

Księga elbląska (niemiecki układ prawa zwyczajowego polskiego) z połowy XIII wieku wspomina o istnieniu osobnego starosty wiejskiego: *Starosta daz ist der edilste im dorfe*. Skąd się ta godność wzięła i jakim było stanowisko prawne owego starosty, tego nam Księga nie wyjaśnia. Nie potrzeba jednak chyba tracić słów na wykazanie, że nie mógł to być żaden funkcyjnaryusz książęcy, urzędnik publiczny; instytucja taka nie dałaby się bowiem pomieścić w ramach ówczesnej organizacyi państwowej. Niemniej też nie był to żaden funkcyjnaryusz pana prywatnego, któremuby poruczano ekonomiczny zarząd wsi; Księga wyraźnie bowiem przeciwstawia owego starostę włodarzowi. Nie można też wątpić, że nie był to funkcyjnaryusz autonomiczny, wybierany przez gminę wiejską, jeśli ją sobie pomyślimy jako ogół mieszkańców pewnej miejscowości, niezwiązanych ze sobą węzłem krwi, albowiem samorząd wsi jako jednostek terytoryalnych rozpoczyna się u nas dopiero z kolonizacją niemiecką i stanowi jedno z najgłó-

wniejszych znamion, wyróżniających osady na prawie niemieckiem od dawniejszych wsi polskich. Pozostaje zatem jedno jeszcze tylko możliwe przypuszczenie, że źródłem, z którego wypłynęły funkcje starosty wiejskiego, jest związek rodowy mieszkańców odnośnej miejscowości; że zaś Księga mieni owego starostę najpierwszym we wsi, że nadto o godności tej wspomina jako prawidłowej we wsiach polskich, przeto wynika stąd, że w owych jeszcze czasach związek rodowy między ludnością poszczególnych osad jest regułą, t. z. że ludność każdej takiej osady jest wyłącznie albo przeważnie związaną ze sobą węzłem krwi, i że tradycją wspólnego pochodzenia od pewnego praojca żywo utrzymuje pośród siebie, jakkolwiek przyjąć trzeba, że sama własność gruntowa była już w tym czasie w przeważnej mierze zindywidualizowaną. Takich starostów, jako naczelników poszczególnych rodów, a często zarazem i osad wiejskich, znały i inne ludy słowiańskie; niektóre, jak Słowianie południowi, utrzymały ich do najnowszych czasów. Z tego, co o organizacji rodowej ludów tych wiemy, wynika, iż rzeczonoego starostę wyznaczał bądź to ustępujący poprzednik, bądź też wybierał go sam ród; jakkolwiek zaś często zdarzało się, że wybór ten padał na najstarszego wiekiem w rodzie, jako osobę najpoważniejszą i najbardziej doświadczoną, to jednak nie było to rzeczą konieczną: w zasadzie chodziło o to, ażeby na czele rodu stał ten, kto najlepiej jego sprawami kierować potrafi; dlatego dla pewnych uzasadnionych przyczyn godność starościńska mogła się dostać innemu członkowi rodu. Z tego powodu nie widzę koniecznej potrzeby proponowanej przez autora emendacyi tekstu Księgi, podanego u Helcla; w miejsce wyrazu *edilste*, jak go ma Helcel, podstawił prof. Piekosiński *eldiste*; jedno i drugie jest możliwem i uzasadnionem; że zaś *edilste* czyta nie tylko Helcel (Sierakowski), ale i Volkmann, przeto widocznie słowo to znajduje się w rękopisie elbląskim, i nie ma powodu zastępować go jakakolwiek korekturą.

Możnaby poprzednim wywodom przeciwstawić uwagę, że nie rozstrzygają one kwestyi pierwotnego zasiedlenia w prawieku; że jeżeli przyjmemy nawet rodowe zasiedlenie osad wiejskich, dające się stwierdzić późniejszymi źródłami historycznymi, to nie wynika stąd, ażebyśmy je uznać mieli dla czasów najpierwotniejszych, gdyż rodowy związek mieszkańców pewnej osady może być także wynikiem dokonanego z biegiem czasu rozrodzenia się rodziny pierwszego osadnika, który jednak z początku sam jeden tylko w osadzie takiej zamieszkał. Przyznaję, że w wielu wypadkach, zwłaszcza z postępem czasu, kiedy pierwotna wspólność rodowa poczęła się rozluźniać, taka geneza osad była możliwą; wyraźne stwierdzenie jej znajdujemy n. p. w znanym ustępie Księgi Henrykowskiej o powstaniu wsi Kwiatkowice. Ale jedno nie wyłącza drugiego, i byłoby myłą rzeczą sądzić, że wyłącznie typ kwiatkowicki można pod tym względem stosować. Zważyć bowiem należy, że jeżeli w późniejszych nawet czasach, przy danym przez jednego tylko osadnika początku osady, dalszy jej rozwój nie wybiegał poza granice rodo-



wego związku, to można było oprzeć na tej samej podstawie także i pierwotne osadnictwo w prawieku, gdzie sam charakter i istota pracy gospodarczej wymagała od razu połączenia znacznie większych sił, łącznego współdziałania znacznie większej liczby jednostek, ażeby na dzikiej i surowej przyrodzie odbić dla siebie konieczne warunki bytu.

Przyjmując tezę o rodowym zasiedleniu wsi chociażby w tych granicach, jak ją zdaje się dopuszczać teoria autora, t. j. jako objaw drugorzędny i chronologicznie późniejszy, wynikły z stopniowego rozrodzenia się rodziny pierwotnego, jedyne go osadnika, ocieramy się mimowoli o pytanie, czy w pierwotnych stosunkach gospodarczych Polski nie należy też przyjąć jakiegoś okresu, w którym własność gruntu nie była jeszcze indywidualną, jednostkową, ale wspólną, rodową. Bo jeśli nawet przyjmujemy, że zrazu za właściciela uważał się tylko ów jedyny osadnik, od którego wieś wzięła początek, to nie wynika stąd bynajmniej, żeby w szeregu dalszych pokoleń, jakie od niego poszły, przeprowadzono konieczne podział gruntów; owszem, poszczególne odgałęzienia jego potomstwa, związane ze sobą już tylko w linii bocznej, częstokroć w dalszych stopniach, mogły przecież utrzymać wspólność majątkową. Pytanie to nabiera tem większego znaczenia, jeśli tezę o rodowym zasiedleniu wsi odniesiemy już do prawieku, do pierwszych faktów osadnictwa, jeśli bowiem od razu znacznie większa ilość stryjców rodowych osiedliła się obok siebie we wspólnej osadzie, to jużci nie dla tego, ażeby każdy na osobno sobie wydzielonym gruncie pracował dla siebie, ale raczej dla tego, aby wspólną pracą obrobić całą przestrzeń, potrzebną do wyżywienia wszystkich; gdzie zaś praca, główny, prawie że wyłączny element, nadający w pierwotnych stosunkach wartość ziemi, jest wspólną, tam też wspólną być musi i własność tej ziemi. Autor bardzo stanowczo oświadcza się przeciw teorii o istnieniu własności wspólnej, jak ją nazywa gminną. Jeżeli ma przytem na myśli własność wspólną gminy jako jednostki terytoryjalnej, t. j. ogółu osadników wiejskich, niekoniecznie związanych wspólnem pochodzeniem rodowym, to przyznaję mu w tem racją najzupełniejszą; ani z wzmianek źródłowych, ani z istoty pierwotnych urządzeń polskich nie można wysnuć wniosku, iżby taka wspólna własność gminna istnieć mogła u nas; to, co wiemy o urządzeniach innych ludów słowiańskich, wskazuje również, że i gdzieindziej jej nie było. Tego rodzaju własność znają tylko ludy germańskie; u nas wprowadza ją kolonizacya niemiecka, i to tylko częściowo, jako wspólną własność gminną w pastwiskach, łąkach i t. p. Zważywszy, że już stosunkowo dość wcześnie także i wsie polskie poczęły tracić charakter wyłącznie rodowy, przez przysiedlanie się nowych osadników, niezwiązanych węzłem krwi z dawniejszymi, możemy pod tym względem twierdzenie autora uważać częściowo za usprawiedliwione. Ale to nie przesądza o stosunkach pierwotnych, gdzie związek rodowy utrzymywał się jeszcze w czystości, lub, jak jeszcze po części w czasach późniejszych, z których posiadamy już wzmianki historyczne, kiedy mimo przy-

siedlenia się nowych przybyszów, pozostawał jeszcze pewien zasób stryjców rodowych, którzy przynajmniej między sobą wspólnotę gospodarczo-majątkową utrzymać mogli. Ogólnie się wyrażając, nie ma podstawy do przyjmowania w Polsce własności gminnej jako takiej, ale jest możliwe istnienie własności rodowej, którą w pierwotnych stosunkach, przy wyłącznie rodowym zasiedleniu wsi, można z tego powodu nazwać także współwłasnością gminną. Argument, jaki przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy podnosi autor, nie sądzę, iżby był wystarczającym. Mniema on, że skoro w jednej wsi osiedlił się sam tylko Kobiara, to nie było nikogo, z kimby miał dzielić swoją własność. Jest w tem *petitio principii*, bo niema dowodów na to, że osadnictwo pierwotne musiało być jednostkowym, a owszem, jak widzieliśmy, wiele przemawia za tem, że mogło być rodowem; powtóre, przyjmując nawet zrazu wypadki jednostkowego osadnictwa, nie potrafimy za pomocą tego klucza rozwiązać kwestyi, jak się mogły ukształtować stosunki własności gruntowej pomiędzy rozrodzonym potomstwem Kobiery. Przychodzi nam tu w pomoc znowu analogia, zaczerpnięta z urządzeń innych ludów słowiańskich, które raz przecie, przy badaniu pierwotnych stosunków polskich, powinniśmy uwzględniać w szerszym zakresie, niż się to działo dotychczas, bośmy przecie w prawięku nie mogli wszystkiego wymyślać i urządzać inaczej, aniżeli nasi pobratymcy, tak blisko z nami wtedy związani i na jednakowym mniej więcej stopniu kultury stojący. U Słowian południowych utrzymywała się aż do najnowszych czasów nie tylko w pierwotnej niemal sile, organizacya rodowa, ale i wspólna własność rodów; co do Czech najnowsze badania bardzo silny kładą nacisk na wspólność majątkową rodów, jako pierwotny przejaw urządzeń gospodarczych; wątpliwy, i tyle uczonym kłopotu przysparzający wyraz *ogniszczanin* Prawdy Ruskiej wyłómaczono ostatecznie jako: należący do (wspólnego) ogniska (rodowego), przyczem dawna teoria o współwłasności gmin ruskich jako jednostek terytoryalnych należy już do historii, natomiast teoria o rodowem ich zasiedleniu i rodowej współwłasności wykazuje poważnych zwolenników. Dlaczegoż w Polsce stosunki własnościowe mamy koniecznie zaczynać od razu od własności indywidualnej?

W czasach, z których pochodzą nasze źródła, o przedmiocie tym dające jakie takie wskazówki, choćby najdawniejsze, a więc z wieku XII, niewątpliwie proces przetworzenia się własności wspólnej w indywidualną znaczne już poczynił postępy; mamy wszelkie podstawy do tego, ażeby własność indywidualną uważać już podówczas jako regułę, własność wspólną rodową, jako szczątkowy zabytek stosunków pierwotnych. Ale między wiekiem VI a XII upłynęło z górą półtysiąca lat, i nie można się dziwić, jeżeli w całym tym przydługim okresie czasu stosunki gospodarcze posunęły się naprzód. Pierwociny ciężkiej walki osiedlonych w poszczególnych osadach rodów, lub ich odgałęzień, z dziką przyrodą, należały już, w tych właśnie osadach, do przeszłości; wartość pracy indywidu-

alnej, rozplywająca się pierwotnie w wspólnej pracy całego rodu, przybrała wobec tego na znaczeniu; nie dziw, że te przemiany wpływać mogły rozkładczo na pierwotną własność wspólną i prowadzić do powstania własności indywidualnej. Jeżeli w gnieźnieńskiej bulli z r. 1136 pod nazwą każdej darowanej kościołowi wsi wymienionych jest po kilka lub kilkanaście imion chłopskich, to znaczy to, że każdy z nich miał już podówczas osobne, od innych wydzielone gospodarstwo, a więc własność indywidualną; swoją drogą, wszyscy lub część ich mogą to być krewniacy między sobą, których przodkowie, w tem lub owem pokoleniu wstecz, żyli jeszcze na wspólnej, niepodzielonej własności rodowej. Ale i ta bulla, jak zaznaczyliśmy poprzednio, w ustępach, wymieniających po imieniu pewnego chłopca, z dodatkiem *cum fratribus* wskazuje jeszcze na częściowe istnienie współwłasności rodowej, jako zabytku dawnych czasów. Księga elbląska, w ustępach dotyczących organizacji ludności wieśniaczej, daje do poznania, że w jej czasie indywidualna własność poszczególnych gospodarzy jest również regułą; a przecież mamy w niej jeszcze poważne wskazówki, świadczące o zabytkach wspólnoty gospodarczej rodowej. Według źródła tego, opole za zbrodnię popełnioną w jego obrębie, może zrzucić odpowiedzialność z siebie, jeżeli wskaże osadę (*Dorf*), w której zbrodni dokonano; w ten sam sposób usuwa odpowiedzialność osada, jeśli wskaże ród (*geslecht*), wreszcie i ród, jeśli wskaże samego sprawcę. W dwu najwyższych ogniwach tego łańcucha (opole i osada) o odpowiedzialności rozstrzyga wzgląd na terytoryum, na którym gubi się ślad zbrodni; słuszną przyjęć, że i trzecie z rzędu ogniwo (ród) odpowiada w tym samym sposobie. Osada przesuwą tedy odpowiedzialność na ród, jeżeli ślad zbrodni prowadzi na grunt do tego rodu należący. Zatem jeszcze w tym czasie były rody, na wspólnym gruncie wspólnie gospodarujące. Przeciwwstawienie osady rodowi wykazuje, że już nie cała ludność wsi siedzi na wspólnym gospodarstwie, choć może wszyscy, albo wielu w pośród nich, są tu krewniakami między sobą; dowodzi ono jednak w każdym razie, że przynajmniej jeszcze pewne odgałęzienia rodów utrzymały taką wspólność gospodarczą, i z tego powodu uchodzą za osobną, zamkniętą w sobie całość (ród), wyróżnianą od innych krewnych, majątkowo wydzielonych. Jeżeli w tejże samej Księdze spotykamy wiadomość, że było mieszkańców wsi pasanem jest wspólnie pod kolejną strażą zmieniających się wieśniaków, to mamy w tem zabytek urządzeń prastarych, wspólnej dla wspólnych celów gospodarczych pracy całego rodu, i co tego zjawiska jest logicznem dopowiedzeniem, wspólnej niegdyś własności rodowej, obejmującej całą osadę. Istnienie wspomnianego już na podstawie tejże Księgi starosty wiejskiego, którego funkcij nie można wyłomaczyć inaczej, jak tylko przypuszczeniem, że był to w zasadzie starosta rodowy, dowodzi, że i teraz jeszcze ludność wsi polskiej, mimo, że już majątkowo rozdzielona, to przecież, co do głównego pnia przynajmniej, stryjcowie rodowi; jak niemniej, że ci stryjcowie musieli niegdyś żyć

w wspólnocie gospodarczej; bez takiej wspólnoty nie dałaby się bowiem w pierwotnych stosunkach wyjaśnić rozumowo sama geneza władzy starościńskiej. Indywidualizowanie własności gruntowej, które w czasie spisania Księgi było już rzeczą w zasadzie dokonaną, nie wpłynęło zresztą na natychmiastowy upadek władzy starościńskiej; utrzymała się ona jeszcze przez pewien czas jako przeżytek urzędzeń prastarych, zwłaszcza, że nie da się przesądzić, czy przecież jeszcze wyosobnieni majątkowo mieszkańcy osady nie mieli do załatwienia pewnych spraw wspólnych pod kierownictwem swego starosty rodowego. Podobnie w rodzie książęcym, na którego czele stał również starosta rodowy, jako wielki książę (*princeps, monarcha*), utrzymał się pryncypat przez czas dłuższy, mimo, że zasada podziałów państwa na dzielnice dawno już przedtem znalazła zastosowanie. Ale jak w rodzie książęcym pryncypat ostatecznie już w początkach w. XIII upadł, tak i w stosunkach prywatnych coraz gruntowniejsze ustalanie się własności indywidualnej podkopywało byt władzy starościńskiej; dlatego wzmianka Księgi o staroście wiejskim (rodowym) jest ostatnią, jaką w historyografii naszej posiadamy, jak zapewne nie byłaby pierwszą, gdybyśmy z czasów dawniejszych obfitsze i dokładniejsze posiadali wiadomości o urządzeniu stosunków ludności wieśniaczej.

Ponad wszystkie poprzednie wywody, — za pierwotnem istnieniem gospodarczych wspólnot rodowych przemawiają dwa powszechnie znane i niewątpliwie poświadczone fakty. Naprzód: utrzymujące się przez dłuższy czas w wiekach średnich prawo stryjców rodowych do udzielania przyzwolenia na pozbycie własności gruntowej w ręce osób obcych, w którego braku alienacja mogła być wzruszoną, jako też prawo ich do skupienia pozbytych dóbr z rąk tychże osób, za zwrotom ceny, jaką za nie zapłacili. Wewnętrzna racja istnienia tych praw nie dałaby się rozumowo uzasadnić, jeżeli nie przyjmiemy, że cały ród zostawał niegdyś w bezpośrednim stosunku do całego majątku rodowego, t. j. że istniała niegdyś wspólnota majątkowa rodu. Powtóre: prawo krewnych do wykonania zemsty na zabójcy swojego krewniaka, względnie do uzyskania okupu za jego głowę. Jaka była ostateczna przyczyna tego, że zabójca zobowiązany był płacić okup na rzecz rodu? Nie będziemy jej zapewne chcieli szukać w pobudkach czysto etycznej natury: w miłości i wzajemnem przywiązaniu współrodowców; ludy pierwotne mają pod tym względem bardzo materialistyczne zapatrywania. Jeśli za głowę zabita brano okup, to tkwiło w nim wynagrodzenie materialne za materialną stratę, jaką ponieśli ci, którym się on należał. Jakąż stratę — odliczając członków rodziny w znaczeniu ścisłem — ponosiłby ród (stryjcowie dalsi), jeśliśmy przyjęli, że własność gruntowa była od samego początku indywidualną? Żadną. Z tego punktu widzenia instytucya okupu nie dałaby się zatem wytłómaczyć. Można ją uzasadnić tylko przypuszczeniem, że własność była zrazu wspólną; wtedy bowiem zabójstwo jednego z członków

rodu umniejszało ilość sił roboczych, w wspólnem gospodarstwie zajętych; zadaniem okupu było ową stratę wyrównać.

Przewiduję zarzut, możliwy ze stanowiska teoryi, przez autora zdawna postawionej i wytrwale przezeń bronionej. Prawo przyzwalania na alienacye nieruchomości da się w źródłach naszych średniowiecznych stwierdzić jedynie tylko co do dóbr rycerskich, nie zaś także i chłopskich. Ponieważ według zapatrywań autora rycerstwo nasze jest właściwie elementem obcym, napływowym, który przez najazd z nadłabskich kresów założył państwo polskie, ujarzmiając ludność miejscową, przeto mógłby się on powołać na to, że współdziałal rodu przy alienacyach dóbr rycerskich, jeśli nawet miałby świadczyć o istnieniu gospodarczych wspólnot rodowych, nie może w niczem przesądzać o stosunkach ludności wieśniaczej, jako elementu, nie mającego nic wspólnego z rycerstwem polskiem. Dochodzę tu do punktu, o który mi na tem miejscu niepodobna prowadzić polemiki z autorem, wymagałaby ona bowiem obszernych wywodów o genezie całego społeczeństwa i państwa polskiego; niech mi więc będzie wolno stwierdzić tylko gołosłownie, zastrzegając sobie wywody same na później, że według mojego rozumienia o rzeczy, geneza ta da się wyjaśnić bez przyjęcia hipotezy najazdu, a owszem przez powolną, prawidłową ewolucyą stosunków pierwotnych; że zatem rycerstwo polskie wyprowadzić należy z tego samego źródła, co i ludność wieśniaczą, skąd wniosek, że widoczne w późniejszym prawie tegoż rycerstwa zabytki pierwotnej organizacji majątkowych wspólnot rodowych mogą też służyć za świadectwo istnienia analogicznych urządzeń u pierwotnych zasiedleńców polskich. Podnoszę zresztą, że co do drugiego z omówionych poprzednio zjawisk, t. j. prawa pobierania okupu za zabójstwo, źródła średniowieczne stwierdzają wyraźnie, jako prawo to nie tylko rodowi szlacheckim, ale i ludności wieśniaczej przysługiwało.

Teorya o rodowym zasiedleniu wsi posłużyć nam może za klucz do rozjaśnienia jeszcze jednej zagadki, która niemało dotąd kłopotu przysparzała nauce, a którą, jak mniemam, niezupełnie trafnie rozwiązuje także autor. Mam tu na myśli kwestyą genezy i znaczenia warstwy ludności wieśniaczej, o której liczne źródła wspominają pod nazwą *hospites*. Pospolicie tłómaczono ten wyraz jako: cudzoziemcy, obcokrajowcy, rozumiejąc, że oznacza on chłopów, którzy z krajów poza obrębem Polski przywędrowali w nasze strony i tutaj po wsiach się osiedlili. Teorya najazdu, wyznaczana przez autora, przedstawiała niemałą pokusę, ażeby podać zasadnicze tłómaczenie całej kwestyi; pozornie bowiem da się ono zmieścić wygodnie w ramach hipotezy i mogłoby uchodzić nawet za pewne jej poparcie. Dla prof. Piekosińskiego owi *hospites* są to również przybysze z poza granic Polski, którzy się tu osiedlali na roli za umową z właścicielem odnośnej wsi; własności gruntu nie nabywali wprawdzie, otrzymywali tylko grunt w dzierżawę od pana, ale zachowywali zupełną wolność osobistą; mianowicie też

po wypełnieniu warunków kontraktu, mogli się swobodnie przenieść gdzieindziej. Innem, według jego teorii było położenie ludności tu-byliczej; ta skutkiem podboju przeszła w stan przypisania; nie miała wolności osobistej, nie mogła gruntu samowolnie opuszczać. Są więc dwa osobne elementy etniczne i odpowiadające temu odmienne stanowiska prawne każdego z nich; *hospites* jest pojęciem równoznacznem z *liberi*, skoro sama Polska nie mogła dostarczyć ludności włościańskiej swobodnej; ludność ta mogła napływać tylko z zagranicy, i tworzyła tutaj najwyższą, stosunkowo najlepiej pod względem prawnym uposażoną warstwę ludności wieśniaczej. Tak więc już nie tylko szlachta i rycerstwo włodycze, ale nawet i górna część włościanstwa — to przybysze obcy. Aliści: owi *hospites-liberi*, jak ich po imieniu z wsi wielkopolskich podaje bulla gnieźnieńska, noszą bez wyjątku imiona słowiańskie, polskie, takie same jak ludność autochtoniczna; i podobnie w innych częściach Polski, ilekroć źródła wspominają o wolnych chłopach, spotykamy wyłącznie również imiona polskie. Autor tłómaczy to zjawisko przypuszczeniem, że ów żywioł napływowy *hospitów* pochodził głównie, prawie że wyłącznie z Słowiańszczyzny nadłabskiej, skąd ludność, gnębiona przez Niemców i najeżdżana przez Duńczyków, ustępowała na wschód. Mamy więc dwie wielkie wędrówki z nad Łaby do Polski: pierwszą, jednorazową, najazd rycerstwa, i drugą, powolniejszą, ale stateczną migracją włościan na szeroką skalę. Przypuszczam możliwość tej ostatniej wędrówki, wszelako bezwarunkowo nie na tak wielkie rozmiary; rozumiem że częściowo mogli z za Odry przybywać chłopci i zasiedlać n. p. graniczne strony Polski, więc zachodnią ścianę wielkopolską; ale zgoła nie mogę wyrozumieć, dlaczego ta wędrówka miałaby się rozlać na wszystkie kraje polskie, stosunkowo bardzo znaczne obszary, zwłaszcza, że przy samej ścianie zachodniej, przy słabem zasiedleniu kraju, znaleźć się mogło, nawet przy bardzo silnym prądzie migracyjnym, sporo ziemi do wzięcia pod uprawę. Czy taka zbiorowa emigracja chłopów nadłabskich, kolonizująca warstwę ludności swobodnej całą Polskę, z kraju stosunkowo mniejszego, nie byłaby musiała tam, między Odrą i Łabą, wywołać formalnego przewrotu ekonomicznego, i czy, drażliwi zawsze na swój »stan posiadania« Niemcy nie byłiby o to podnieśli krzyku do Pana Boga i wszystkich świętych, jak go podnoszą nawet wtedy, kiedy im się żadna krzywda i niesprawiedliwość nie dzieje? A przecież w źródłach niemieckich, nawet tak szczegółowo o stosunkach połabskich mówiących, jak kronika Helmoda, nie ma o tem śladu.

Dalszy szkopał, o który uderza hipoteza autora, polega na tem, że gdy w wielu źródłach wyraz *hospes* oznacza ludność swobodną, to jednak są i takie, z których wypływa, że *hospites* przywiązani są wieczyście do gleby, z której im się ruszać nie wolno; jak niemniej, że pełnić muszą na rzecz panów pewne posługi przymusowe, co również z charakterem ludności swobodnej się nie zgadza; że jednym słowem, w tym wypadku *hospites* stoją na równi

z przypisańcami, a więc z tą kategorią chłopów, którą autor uważa za niższy szczebel ludności wieśniaczej, powstały z ujarzmionych tubylców. Klasyczny na to dowód znajdujemy w przywileju trzebnickim z roku 1204, któremu autor poświęca także bliższą uwagę; jego próba wytlómaczenia sprzeczności, w jakiej przywilej ten staje do jego teorii, nie może, jak sądzę, wystarczyć. Autor przyjmuje, iż wzmiankowani tam chłopci, to właściwie przypisańcy lub niewolnicy, których powinności i posługi zmoderowane zostały nieco, i którzy z tego powodu, zbliżywszy się do ludności swobodnej, otrzymali nazwę *hospites*. Zaznaczam, że w źródle nie ma o dokonaniu tej przemiany jakiegokolwiek, chociażby tylko pośredniej wskazówki; nie rozumiem też, na czym owa moderacja miałyby polegać, skoro najistotniejsze ograniczenia owych najniższych warstw ludności wieśniaczej zostały zatrzymane; a stąd nie umiem sobie wytłómaczyć, jakaby zachodziła istotna przyczyna nazywania w tym wypadku przypisańców i niewolników *hospitami*. Interpretując źródło ściśle i bez przystosowania do gotowej już hipotezy, muszę zeń, w związku z przytoczonymi poprzednio faktami, wysnuć następujące wnioski: naprzód, że pod wyrazem *hospes* rozumianym być może zarówno wieśniak swobodny jako też i przypisańcy; powtórę, że wyraz *hospes* nie jest koniecznym równoznacznikiem wyrazu *liber*, i wreszcie, że skutkiem tego nie ma koniecznej przyczyny przyjmować, jakoby każdy *liber* był zarazem *hospes*, owszem, można przyjąć, że istnieli *liberi*, którzy nie byli *hospites*. Podobnie do przypisańców należeli niektórzy *hospites*, a przecież nikt nie twierdzi, jakoby wszyscy przypisańcy z takich *hospites* się składali.

Jednym słowem: wyraz *hospes* nie oznacza pewnej wyso-bnionej pośród stanu wieśniaczego warstwy, posiadającej odmienną organizacją, aniżeli dwie inne przez autora do tego stanu zaliczone warstwy, t. j. przypisańcy i niewolnicy. Wobec tego twierdzić trzeba, że racją istnienia tej nazwy stanowi w istocie, bez względu na stanowisko prawne, sam fakt pochodzenia ludności, pojęcie tkwiące zresztą już w samym wyrazie. Ale i tutaj, jak zaznaczyliśmy poprzednio, nie można pod owymi *hospites*, przynajmniej co do głównej ich masy, rozumieć przybyszów z poza granic państwa, czy to obcoplemieńców, czy choćby nawet pobratymców nadłabskich. I słuszna: kwestja przynależności państwowej, krajowości lub zakrajowości, była w owych czasach rzeczą, na którą kładziono nacisk najmniejszy, która pod względem prawnym, o ile wiadomo, żadnej nie odgrywała roli. Cudzoziemiec, skoro raz osiedlił się w Polsce, stawał na równi z tubylcami. Najstarszy kronikarz dwukrotnie wspomina o tem, jak to pierwsi Bolesławowie chętnie sprowadzali do Polski rycerstwo zagraniczne; podobnież działo się i później; nie możemy wątpić, że rycerstwo to stanęło od razu na równi z rycerstwem miejscowem; w źródłach prawie że się już potem nigdy nie zwraca uwagi na ich obce pochodzenie, i ledwo że tu i ówdzie z cudzoziemskiego imienia jakiegoś świadka na dyplomacie, możemy się dorozumieć, że to przybysz lub poto-

mek przybysza. Dlaczegoż tylko co do przysiedlonej z zagranicy ludności włościańskiej mianoby taki szczególny nacisk kłaść na sprawę jej dawniejszej przynależności państwowej, żeby ją w licznych dokumentach wyróżniać mianem *hospites* od autochtonów? Dla księcia lub pana prywatnego było rzeczą obojętną, czy mu rolę sprawia, czynsze płaci, daniny i posługi pełni, rodowity chłop polski, Słowianin z nad Łaby, lub jakkolwiek inny obcoplemieniec; nie było istotnego powodu zaznaczać to ich pochodzenie z taką skrupulatnością w dyplomatach. Jeżeli mimo to dyplomaty przecież hospitów starannie od innej ludności wiejskiej wyróżniają, to musiały tu działać jakieś inne praktyczne pobudki. Zatem, jeżeli już nie prz z przynależność państwową lub etnograficzną ów *hospes* jest obcym we wsi, to chyba przez to, że nie należy do ludności zarodowej danej osady. Jestto przysiedleniec, który przybył tu skądkolwiek indziej, choćby nawet z jakiejś pobliskiej osady polskiej: żywił w danej osadzie nowy, dawnemu obcy. W środku kraju, na kilkadziesiąt lub kilkaset mil od granicy, nie miano interesu w tem, ażeby rozpatrywać metrykę jego przynależności państwowej, ale mogły być ważne powody po temu, ażeby pamiętać o jego metryce rodowej. Zjawił się przysiedleniec, który do rodu nie należy, pochodzeniem obcy zarodowej ludności osady. Jako taki nie wchodzi on w organizację rodową, nie bierze udziału w prawach, nie podlega obowiązkom, jakie ona stwarza. Biorąc na wzgląd chociażby ostatnie czasy chylące się już do upadku tej organizacyi, jak ją nam przedstawia Księga elbląska, możemy zapytać: czy podlega władzy starosty rodowego (wiejskiego), czy ma prawo przypędzić swoje bydło do wspólnego wypasu pod kolejną straż dawnych, węzłem krwi związanych z sobą mieszkańców? Odpowiedź, jeśli nie ma być sztuczną, musi wypaść przecząco, a nie wiemy, co do jakich innych jeszcze, bliżej nam nieznanych szczegółów organizacyi rodowej, wypadłoby ją również ująć tak samo. Zatem: *hospes* już w samej wsi, wobec innej ludności tamtejszej zajmuje stanowisko odrębne, jako wyjęty poza nawias organizacyi rodowej; ponadto jego stosunek do pana może być także innym, aniżeli stosunek tamtych, pierwotnych mieszkańców, jeżeli warunki, na jakich się osiedlił, zostały tu odmiennie ułożone. Oto powód, dlaczego dyplomaty tak pilnie wyróżniają hospitów od innej ludności wiejskiej. W ten sposób rzecz pojmując, wytłómaczymy dwa nie dające się poprzednio rozjaśnić zjawiska: naprzód, dlaczego imiona hospitów są słowiańskie, polskie, skoro to ludność w przeważnej części tak samo polska, jak i rdzenna ludność osady, tylko, że napływająca tu z innych osad; a powtóre, dlaczego *hospites* mogą być zarówno wieśniakami wolnymi, jak i przypisańcami, skoro urządzenie wzajemnego ich do pana stosunku zależało od każdorazowej umowy.

Jakimi szlakami mogła iść ta wewnętrzna kolonizacya hospitów, dokonywana w osadach pierwotnie rodowych? Zwracam uwagę na to, że niemal do końca wieków średnich stosunek przypisania



do gleby przywiązywał do niej właściwie tylko samoistnego gospodarza, nie obejmował zaś także jego potomstwa; dopiero w r. 1496 stanęły pierwsze ograniczenia co do możliwości wysiedlania się synów chłopskich. Dla pana, który miał przypisańców, rozstrzygającą było rzeczą, ażeby ktoś — jeden — odnośne gospodarstwo sprawił, powinności i świadczenia na niem ciężące wykonał, w tem bowiem jego interes gospodarczy znajdował zaspokojenie; o ograniczeniach prawa wysiedlania się potomstwa chłopskiego, choćby to nawet byli synowie przypisańców, nie słyszymy w tym czasie. Rozradzające się pokolenia chłopskie, wychodząc ze wsi ojczystej i osiedlając się gdzieindziej, mogły zatem częściowo dostarczyć kontyngentu hospitów. Zrywały przez to wprawdzie związek rodowy i pozbawiały się praw, jakich w tym związku używały, ale przenosząc się na inne miejsce, mogły natomiast zawarować sobie wobec nowych panów korzystniejsze warunki, aniżeli je mieli ojcowie we wsiach ojczystych. Oto jedno możliwe źródło powstania klasy hospitów, może nie tak obfite, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło, ze względu na znaczenie, jakie w czasach tych przedstawiać musiało utrzymanie pierwotnej osiadłości, i co za tem szło w ślad, niezrywanie związku rodowego. Dalszego zasobu hospitów dostarczali chłopci eliminowani, t. j. ci, których panowie usunęli ze wsi, zatrzymując ich grunty dla siebie, a którzy musieli znaleźć gdzieś indziej pomieszczenie dla siebie, jako przysiedleńcy w innych wsiach. Wśród licznych przykładów takiej eliminacji zasługuje na szczególną uwagę ten, o którym wspomina przywilej Henryka Brodatego z r. 1233 dla klasztoru lubiąskiego. Usunięci z gruntów przypisańcy otrzymali tu prawo osiedlenia się gdziekolwiek indziej, byleby tylko w dobrach książęcych. Dokument nazywa ich *łazegami*. Ci, kiedy się osiedlą w innej wsi, będą tam *hospites*. Czy nie wolno pokrewny wyrazowi *hospes*, jest polską techniczną nazwą, odpowiadającą przytoczonej dopiero co technicznej nazwie łacińskiej?

Wywody poprzednie o rodowym zasiedleniu wsi polskich nie byłyby zupełne, gdybyśmy nie rozpatrzyli tu jeszcze stosunku, w jakim teoria ta zostaje do teorii o powstaniu nazw wsi polskich. Jak już wspomnieliśmy, autor przyjmuje, że pierwotne osadnictwo nasze sprowadzić się da do dwu typów nazw miejscowych, t. j. osad z końcówką dzierżawczą na *-ów, -owa, -owo, -in, -yn, -ina, -yna*, tudzież osad z końcówką patronimiczną na *-ice*. Wychodząc z założenia, że pierwotne zasiedlenie wsi było jednostkowym, znajduje się on w kłopotcie, jak wyłómaczyć genezę nazw tej drugiej kategorii, boć oczywiście, jakże osada mogła otrzymać już w prawieku nazwę Dalechowice, skoro zrazu nie mieszkali tam członkowie rodu Dalecha, tylko sam Dalech? Teoria autora, przeprowadzona ściśle, domagałaby się raczej, ażeby wszystkie wsie pierwotne miały nie inną, jak tylko dzierżawczą końcówkę. Trudność tę rozwiązuje on przypuszczeniem, że w czasie wędrówki z Azji, jak twierdzi, niektórzy ojcowie rodzin pomarli, tak że do krajów

polskich przybyli już tylko ich synowie, i tutaj osiedliwszy się wspólnie, dali początek osadom patronimicznym (Dalechowice, t. j. synowie Dalecha). Zważywszy, że osad patronimicznych mamy w Polsce około 3000, i odliczywszy na późniejsze fakty kolonizacji znacznie większy nawet procent tego rodzaju nazw, niż to czyni sam autor, musielibyśmy przecież, na czas owej wędrówki, przyjąć jakąś dziwnie powszechną śmiertelność, zmiatającą z tego świata tylu ojców rodziny, ażeby mógł podtrzymać jego tłumaczenie; tem dziwniejszą, że owa wędrówka nie odbyła dalekiej drogi z Azji, jeno tylko z wschodniej Europy. Opierając się na gruncie teorii o rodowym zasiedleniu wsi, tłumaczymy rzecz w sposób całkiem naturalny: osada nazywa się Dalechowicami dlatego, że się tam osiedlił ród Dalecha, przyczem Dalech mógł przybyć żyw i zdrow ze wschodu do Polski. Sam autor, rozumiejąc, że się tu osiedlili synowie zmarłego w drodze Dalecha, ociera się mimowoli o teorię zasiedlenia rodowego, przyjmuje bowiem wspólne zamieszkanie kilku potomków zmarłego ojca, między sobą już tylko krewnych bocznych, tylko że poza potomstwo najbliższe, t. j. synów, żadną miarą wyjść nie chce.

Natomiast bardzo walne poparcie jego zapatrywań o jednostkowym zasiedleniu w prawięku możnaby upatrywać w drugiej grupie nazw osad wiejskich, z końcówkami dzierżawczemi. Nazwa Miechów zdawałaby się wskazywać, że Miech osiedlił się tu zrazu sam jeden, conajwięcej z żoną i dziećmi, i że ziemia, jaką zajął, była odrazu jego własnością indywidualną. Ponieważ zaś nazw z końcówkami dzierżawczemi jest w Polsce z górą 8000, a więc znacznie więcej, aniżeli osad patronimicznych, przeto możnaby w tem widzieć stwierdzenie faktu, że w istocie osiedlenie jednostkowe jest prawidłowym typem pierwotnego osadnictwa.

Dla wyjaśnienia sprawy przypominam przedewszystkiem, iż wykazy statystyczne poszczególnych typów osadnictwa polskiego, na których się obecnie opieramy, sporządzone zostały na podstawie rejestrów, pochodzących dopiero z wieku XVII, a więc z czasów, kiedy zarówno proces zasiedlenia ziem polskich, jako też ustalenie nazw miejscowych były już rzeczą dawno dokonaną. Nauka, opierając się na tych rejestrach, ma jeszcze do przeprowadzenia, co do wsi z końcówkami dzierżawczemi, bardzo ważne obliczenie statystyczne, z jakich je urobiono tematów t. j. z jakich imion osobowych. Na ogół biorąc, można tu rozróżnić trzy grupy rzeczonych tematów: imiona z kalendarza chrześcijańskiego, z których powstały nazwy jak Szymonów, Klimuntów, Szczepanów; imiona rycerskie, z których nazwy Ściborów, Prędocin, Zawiszyn, i wreszcie imiona nierycerskie, z których nazwy Dalechów i Miechów. Powstanie nazw pierwszej grupy nie może być wcześniejszem nad koniec wieku X, powstanie nazw drugiej grupy należy zaliczyć również do zjawisk późniejszych, albowiem osobna warstwa rycerstwa nie istniała w prawięku i wytworzyła się dopiero skutkiem późniejszych zmian w urządzeniach społecznych. Tylko ostatnią grupę nazw

możnaby odnieść do czasów najdawniejszych. Ile na nią z powyższej cyfry 8000 przypada, nie umiem teraz powiedzieć dokładnie; ale z ogólnego wrażenia, jakie daje zasób nomenklatur dzierżawczych, wnosić mogę, że stosunkowo nie bardzo wiele; całe ich tysiące przypadają na dwie pierwsze grupy, które zatem przy badaniu pierwotnych stosunków zasiedlenia, jako fakt chronologicznie późniejszy, stanowczo wyłączyć należy za nawias. Wtedy zaś, cokolwiek zechcemy sądzić o grupie trzeciej, będziemy musieli przyznać, że statystyka, na rejestrach z nowszych czasów oparta, określająca wzajemny stosunek liczbowy pomiędzy wsiami na *-ice* z jednej, a na *-ów*, *-yn* z drugiej strony, nie może dać podstawy do twierdzenia, jakoby to, co w niej cyfrą przeważa, było też przeważającym w prawniku, regułą i przeważnie stosowanym sposobem pierwotnego osadnictwa; owszem, nic nie stoi temu na przeszkodzie, ażeby dla najstarszych osad polskich ich patronimiczną nazwę przyjąć jako formę prawidłową i typową. W ten sposób upadnie dalsza pozorna przeszkoda, na którą rzekomo natrafia teoria o pierwotnem rodowem zasiedleniu wsi polskich.

Czy owe wsie o końcówkach dzierżawczych, utworzone z imion rycerskich i chrześcijańskich, mamy sobie bez wyjątku wyobrazić jako wsie, powstałe w ciągu dalszych już wieków na nowym korzeniu, a więc w miejscach, które poprzednio ani zasiedlenia w ogóle, ani też skutkiem tego żadnej nazwy nie miały? Czy też raczej nie możemy także przyjąć, że część ich, to raczej osady, które dopiero z biegiem czasu otrzymały nazwę o końcówce dzierżawczej, od właściciela, który ją w danej chwili nabył, ale takie, które już przedtem były zasiedlone, i jako takie nosiły inne nazwy, mianowicie też nazwy patronimiczne? Innemi słowy: czy pod jakimś późniejszym Ściborowem nie kryją się przypadkiem jakieś dawniejsze Łochowice? Zasadniczo rzecz biorąc, nic takiemu przypuszczeniu nie stoi na przeszkodzie. Jeszcze w wieku XII i XIII stabilizacya nazw wsi, lubo już znaczne poczyniła postępy, nie jest przecież rzeczą bezwzględnie przeprowadzoną; z czasów tych znane są niektóre przykłady przemiany nomenklatur topograficznych ze zmianą stosunków zaludnienia lub własności. Czytamy naprzykład w źródłach, że wieś, zwana przedtem Domisławice, przybiera obecnie nazwę Łukaszowice, dlatego, że zmarł Domisław (prawdopodobnie poprzedni starosta rodowy pośród tamtejszej ludności), a pozostał Łukasz (jako nowy naczelnik rodu). Podobnież wieś, zwana Burkowe, dlatego śnać, że ją dzierżył poprzednio jakiś Burk, zmienia nazwę na Szymonowe, dlatego, że ją nabył kasztelan gnieźnieński Szymon. Takie same zmiany, dokonywane w obrębie jednej grupy nazw, były możliwe i w tym sposobie, że sam typ nazwy zmieniał się ze zmianą stosunków. Tak Brzeźnica zmienia nazwę na Jędrzejów, Łąka na Bartłomiejów, a później znowu na Krasnopolę, Wrociżyż na Sądowice. Podobnież, jeśli ktoś nabył wieś o nazwie patronimicznej, wieś ta otrzymać mogła nazwę z końcówką dzier-

żawczą. Tak wieś Lutowice przemienia nazwę na Klimuntów z powodu, że dostała się na własność Klemensowi.

To ostatnie spostrzeżenie mimo, że ma wyraźne poparcie w dokumencie stosunkowo nie bardzo późnym, bo z połowy XIII wieku, spotka się zapewne z opozycją. Według wyznawanej dotąd teorii, której gorącym zwolennikiem jest także prof. Piekosiński, wsie o nazwach patronimicznych nie mogły się początkowo dostawać w posiadanie rycerstwa. Rzeczony wsie stanowią zrazu wyłączną własność księcia; później przez darowizny jego przechodzą częściowo w posiadanie instytutów kościelnych, ale przez czas stosunkowo dłuższy nie dostaje ich żaden rycerz. Darowizny na rzecz rycerstwa obejmują miejsca puste, które rycerz zasiedlić ma przykupionymi lub na wojnie zdobytymi niewolnikami; w najlepszym razie dostaje on od księcia nielicznych niewolników, a więc nie tę ludność, od której imienia tworzone patronimiczne nazwy osad. Taką jest teoria prof. Piekosińskiego, dla której naprótno szukam jakiegokolwiek rozumowego uzasadnienia, jakiegokolwiek istotnej, wewnętrznej racji. Co do obdarowanych przynajmniej każdy, że nie tylko klasztor lub katedra biskupia mogły dążyć do tego, ażeby uzyskać wraz z gruntem ludność, ale także i rycerz, dla którego to było rzeczą o wiele korzystniejszą, aniżeli dostać sam tylko pusty grunt. Co do darowujących książąt, rozumiem, że skoro nie istniała żadna przeszkoda prawna, ażeby ludność wsi patronimicznych przeszła z ich ręki w ręce instytutu kościelnego, a więc w posiadanie prywatne, i że skoro raz już wogóle poczęli szafować ludnością tego rodzaju, to już nie mogli mieć żadnego powodu, ażeby jej w danym wypadku wraz z odpowiednim gruntem nie nadać także rycerzowi; znaczyłoby to, że książęta nakładali tu sobie dobrowolnie jakieś wędzidła w rozdawnictwie dóbr, bez istotnej wewnętrznej po temu przyczyny; zważyć bowiem należy, że pozyskanie dla siebie tego lub owego rycerza przez wydatniejszą darowiznę, a więc nie tylko przez nadanie gruntu pustego, mogło być nieraz pilniejszą potrzebą, aniżeli zaskarwienie łask duchownych przez modły tego lub owego opata i jego zakonników. Przyczyną nieporozumienia stała się okoliczność, iż rejestr posiadłości ziemskich, jaki się na podstawie najstarszych dokumentów z XII i początków XIII stulecia da zestawić, wykazuje, jako posiadłości księcia są przeważnie wsiami o nazwach patronimicznych, wśród posiadłości kościoła naliczyć ich można także dość znaczną liczbę; wreszcie w posiadłościach rycerskich prawie że nie ma osad patronimicznych, a są tylko przeważnie wsie o końcówkach dzierżawczych. Zjawisko to da się jednak wytłómaczyć w sposób całkiem naturalny bez potrzeby uciekania się do sztucznej hipotezy, o której co dopiero mówiliśmy. Nomenklatura wsi książęcych nie mogła uwzględniać stosunku własności; książę był bowiem w tym czasie właścicielem ogromnej ilości majątków ziemskich; gdyby jego imieniem chciano oznaczyć wieś, natenczas setki i tysiące wsi musiałyby nosić jedną i tę samą nazwę. Tutaj więc

nie pytano o to, kto jest właścicielem wsi (-ów), jeno o to, jaka ją zamieszkuje ludność (-ice), dlatego też w szeregu posiadłości książęcych znajdujemy tak przeważną ilość osad patronimicznych. Podobne, choć częściowo także odmienne względy, odgrywały rolę co do majątków kościoła. Każdy instytut kościelny skupiał zwykle znaczną ilość wsi w swem ręku; i tutaj więc według właściciela nie można ich było nazywać, jeżeli wszystkie nie miały otrzymać jednakowego miana; ponadto, i to rzecz ważniejsza, nie było tu właściciela, od którego imienia nomenklatura o końcówce dzierżawczej mogłaby być urobioną, wieś bowiem należała do instytutu kościelnego jako takiego. Dlatego wsie patronimiczne, nadane kościołom, musiały zatrzymać pierwotną swą nazwę, i dlatego też w rejestrach posiadłości kościelnych, jakie się z najstarszych dokumentów dadzą zestawić, ilość tych wsi jest tak pokazną. Dokumentów książąt, nadających dobra ziemskie rycerstwu, nie posiadamy z owego, najstarszego okresu dyplomatyki naszej, nie dlatego, iżby darowizny tego rodzaju nie przychodziły wogóle do skutku, jeno dlatego, że prywatne archiwa rodzinne ulegały daleko łatwiej zniszczeniu, aniżeli archiwa kapitulne i klasztorne. Gdybyśmy znacznieszą ilość takich dokumentów posiadali, i na podstawie ich stwierdzić mogli, że książę w istocie dóbr patronimicznych nigdy rycerstwu nie nadaje, natenczas mniemanie, przeciw któremu na tem miejscu występujemy, możnaby, do pewnego przynajmniej stopnia, uważać za usprawiedliwione. To, co o posiadłościach rycerskich z tych czasów wiemy, ma tylko charakter wiadomości pośrednich; z bulli papieskiej, zatwierdzającej uposażenie pewnej katedry, dowiadujemy się naprzykład, że w szeregu wsi, nadanych katedrze, znajduje się także ta lub owa osada, zapisana przez tego lub owego rycerza. Zatem, owa osada, zanim się dostała kościołowi, była już poprzednio przynajmniej przez pewien czas w posiadaniu rycerza, a może nabył ją jeszcze jego ojciec, jego dziad lub pradziad, lub kto wie, jaki jeszcze inny przodek. Bo to, co autor twierdzi o uposażeniu rycerstwa dobrami ziemskimi, jakoby dopiero w początkach wieku XII, wątpię, iżby się utrzymać mogło w nauce; twierdzenie opiera się na przypadkowej wzmiance Galla o znaczniejszych darowiznach w ziemi, dokonanych przez Krzywoustego z racyi jego zaślubin, ale wzmianka ta nie dowodzi bynajmniej, jakoby już dawno przedtem rycerstwo nie mogło nabywać dóbr ziemskich; nie dziw też, że zapatrywanie to spotkało się z silną, i jak mniemam, zupełnie uzasadnioną opozycją Smolki i Łaguny. Zatem, skoro owe dobra, nadawane obecnie przez rycerstwo instytutom kościelnym, występują już pod nazwami o zakończeniu dzierżawczem, to nie można wykluczyć przypuszczenia, że przedtem, zanim wyszły z posiadania księcia, mogły się też nazywać inaczej, i że ta nazwa mogła być patronimiczną; bo jest to czas, w którym stabilizacya nazw miejscowych nie jest jeszcze rzeczą dokonaną. Zaczem też wieś, nazywająca się poprzednio, od ludności tamże zamieszkałej, Łochowicami, mogła teraz od

nowego właściciela przybrać nazwę Ściborów. Taka zmiana nie natrafiała tu na przeszkodę, jaka istniała co do majątków książęcych lub kościelnych; naprzód bowiem istniało rzeczywiście imię właściciela, podatne na temat do stworzenia nazwy wsi o końcówce dzierżawczej, a powtóre ów właściciel był zazwyczaj panem jedno- lub kilkuwioskowym, zaczem też formacya nazwy miejscowej z jego imienia mogła przedstawiać znaczenie i doniosłość praktyczną. Z naciskiem podnieść muszę, że nawet prof. Wojciechowski, wyznawający podobną teorię co i autor, przyznać przecież musiał, jako już w najdawniejszych dokumentach, z połowy XII wieku, stwierdzić się da w kilku wypadkach własność rycerstwa co do wsi patronimicznych. Wypadki odnoszą się do Śląska; być może, iż proces stabilizacyi nazw rychlejsze i znaczniejsze poczynił tam postępy, tak, że nadane z pierwotną ludnością wsie nie zmieniły już nazwy według imienia nowego właściciela; w każdym razie dowodzą one, że teza, jakoby rycerstwo wsi patronimicznych otrzymywało ani posiadać nie mogło, znajduje zaprzeczenie w pozytywnych wiadomościach dokumentowych z najstarszej epoki.

Rozumiejac, że jeszcze w wieku XII i XIII wieś patronimiczna, nabyta przez rycerza, mogła otrzymać nazwę o końcówce dzierżawczej, i przechodząc od tego czasu w czasy dawniejsze, musimy przyjąć koniecznie, że owe przemiany, w miarę zmieniających się stosunków, były coraz liczniejsze i powszechniejsze, albowiem proces stabilizacyi nazw, licząc od stulecia do stulecia wstecz, musiał być coraz słabszym, a świadomość i poczucie rzeczywistego związku między nazwą wsi a jej zaludnieniem lub stosunkami własnościowymi, coraz silniejszym. Możemy przyjąć, że pierwsze wieki historii polskiej mają do zapisania wielki, na szerokie rozmiary dokońnyjący się proces ciągłego przetwarzania nazw osad wiejskich, którego resztki widoczne jeszcze w źródłach z XII i XIII stulecia. A wobec tego nie jesteśmy w możności określić chociażby w przybliżeniu, ile setek, może nawet tysięcy nazw o końcówkach dzierżawczych, jakie w późniejszych wykazach spotykamy, pokryło dawniejsze nazwy wsi patronimicznych; mamy jednak w każdym razie podstawę do przypuszczenia, że mogło ich być stosunkowo wiele. A w takim razie do cyfry około 3.000 wsi patronimicznych, jaką stwierdzają późniejsze rejestry, będziemy mogli dodać jeszcze wcale pokażną dalszą cyfrę dla prawieku, wobec której to, co jeszcze z nazw o końcówkach dzierżawczych pozostało, przedstawiać będzie pozycją nieszczęśliwie wielką. W czem znajdzie się nowe poparcie teorii o pierwotnem rodowem zasiedleniu wsi, którego wyrazem są właśnie nazwy o końcówkach patronimicznych.

Krótko już załatwić się możemy z trzecią, ostatnią grupą nazw miejscowych o końcówkach dzierżawczych, które powstały z imion niechrześcijańskich i nierycerskich. Ich początek, stosunkowo dawniejszy, nie ulega dla mnie, co do przeważnej ilości, wątpieniu; ale, czy ich powstanie mamy koniecznie odnieść do prawieku, do pierwszego faktu osiedlenia się ludności polskiej w ziemiach polskich?

I czy, w ślad za tem, istnieje też konieczność przyjęcia, że już w prawięku jednostkowy sposób zasiedlenia był w użyciu, jako forma, stosowana obok zasiedlenia rodowego, choć może już nie na tak szerokie rozmiary, jak to przyjmuje autor? Mniemam, że nie. Nie mogę oczywiście prowadzić na to dowodu za pomocą pozytywnych wiadomości współczesnych, któremi nie rozporządzamy; wystarczy, jeżeli w granicach teorii przeze mnie postawionej, wykażę też wewnętrzne prawdopodobieństwo mojego na ten szczegół zapatrywania. Przypominam tedy, że już w najstarszych naszych źródłach dyplomatycznych i prawnych wspólność majątkowa rodów występuje jako przejaw gospodarczy zanikający, jako szczyłek żywotnych niegdyś urzędzeń, które straciły racją bytu, i chyłą się ostatecznie do upadku. Zanim do tego doszło, musiało wiele czasu upłynąć, w ciągu którego, z coraz większą siłą, działały czynniki, rozsadzające prastarą wspólnotę gospodarczą rodową. Początki wyosabniania się z niej własności indywidualnej musimy tedy odnieść do wieków stosunkowo odległych, bardzo prawdopodobnie do czasów przed przyjęciem chrześcijaństwa, i to może nawet dość znacznie wstecz przed tym faktem. Z chwilą, w której się zaczęła indywidualizacja własności, dane już były warunki do powstania osad z końcówkami dzierżawczemi; mógł je założyć wyosobniony już majątkowo, z wspólnoty rodowej wydzielony właściciel, od którego imienia wziął też nazwę jego »stan«. Rzeczona »stany« można uważać za wyraz dokonywanej w ciągu najbliższych po pierwszym osiedleniu stuleci, kolonizacji kraju, na którą, prawie że nic nie pozostałoby, gdybyśmy razem z autorem przyjęli, że suma około 3000 wsi patronimicznych i przeszło 8000 wsi o końcówkach dzierżawczych, jest już w bardzo przeważającej części wynikiem pierwotnego zasiedlenia. Dwie kategorie tej ostatniej grupy wyłączyliśmy już poprzednio z innych powodów; niniejszej, trzeciej, lubo jej przyznać należy początek stosunkowo bardzo dawny, niema jednak koniecznej potrzeby odnosić do pierwszych faktów osadnictwa.

Jako osobny typ w systemie osadnictwa polskiego wyróżnia nauka nasza od czasów pojawienia się pomnikowej pracy o Chrobacyi, wsie od nazwach jak: Biernaty, Grzymki, Sobki, Cierpięta, Niemierzęta, Ciecioriki, Ćwiki, Czajki, Białokozy, Koziegłowy, Kurzowki, Złamirogi i t. p. Prof. Wojciechowski dostrzegł w nich bardzo trafnie znamion nazw rodowych, i wysnuł stąd niemniej trafny wniosek, iż rzeczona wsie powstały przez osiedlenie się całych rodów w każdej miejscowości z osobna. To spostrzeżenie pozostanie po wsze czasy trwałą zdobyczą naszej nauki. Można jednakże rozprawiać o tem, do jakiej warstwy społecznej należały owe rody, których osiedlenie dało początek rzeczonym osadom. Prof. Wojciechowski, biorąc na wzgląd okoliczność, iż osady te znajdują się w największej ilości na Mazowszu, a więc na kresach państwa polskiego z tej strony, gdzie ono przytykało do siedzib dzikich, barbarzyńskich plemion, skłonnych do najazdów i rabunku, wnioskuje, że powstały one przez zasiedlenie rodów rycerskich, które

tutaj gęsto obok siebie zamieszczano, ażeby każdej chwili stanąć mogły w znaczniejszej ilości pod bronią i dać skuteczny odpór barbarzyńcom. Z tego powodu nazywa je osadami wojskowemi; razem wzięte tworzą one coś w rodzaju »Pogranicza wojskowego«. Prof. Piekosiński zarówno w niniejszej jako też i dawniejszych swoich pracach, przyjmuje w zupełności rzeczzone zapatrywanie, przystosowuje je tylko nieco do swojej teorii najazdu. Według niego w osadach tych rozsiedlonem zostało rodami rycerstwo włodycze czyli szeregowe, t. j. główna masa pierwotnych najezdców Polski, a raczej ich potomkowie; dlatego nazywa je osadami włodyczemi; stosownie zaś do zaznaczonego poprzednio zapatrywania, jakie sobie wyrobił o początku własności rycerskiej w Polsce, mniema, że rozsiedlenie to nastąpiło w początkach XII stulecia. Nie mogą jednak przemilczeć, że sama zasadnicza teoria o rycerskiem czy włodyczem zasiedleniu rzeczonych wsi wymaga co najmniej gruntownej naukowej rewizyi, jeżeli nie sprostowania. Jeżeli na północno-wschodnich kresach państwa istnieć mogła potrzeba gęstego rozsiedlenia rodów rycerskich, to z innych przyczyn, taka sama potrzeba pomyśleć się da także na innych kresach, od zachodu i południa, bo i tu groziły częste najazdy sąsiadów, którym skupione po wsiach rycerstwo mogłoby dać rychły i skuteczny odpór. Tymczasem owe kresy zachodnie i południowe nie wykazują znaczniejszej ilości rzeczonych wsi. Ponieważ jednak przypuszczam, że mi moi przeciwnicy z miejsca odpowiedzą, jako inną jest rzeczą walka z dzikim barbarzyńcą, a inną z cywilizowanym sąsiadem, przeto nie chcąc poczynać sporu, w którym co najwięcej gołosłowne argumenty i podmiotowe zapatrywania mogłyby być obustronnie wytoczone, nie kładę na powyższe spostrzeżenie znaczniejszego nacisku. Natomiast stwierdzam, że nawet wewnętrzne ziemie polskie wykazują pewien, nie tak wprawdzie znaczny jak na Mazowszu lub najbliższych mu Kujawach, w każdym jednak razie dość pokażny procent tego rodzaju osad; w każdym bez wyjątku województwie polskiem jest ich co najmniej 10%, z jedynym wyjątkiem sandomierskiego, które ma ich 9%. W tych krajach wewnętrznych nie mogły owe osady tworzyć pogranicza wojskowego, choćby nawet przeciw barbarzyńcom, a nie można ich też uważać za dowolnie przybierane nazwy, nieodpowiadające rzeczywistości, jakie stwarzano częstokroć w późniejszej Polsce, albowiem istnienie wielu z nich da się stwierdzić już w najdawniejszych naszych źródłach z XII i XIII wieku, t. j. z tego czasu, kiedy formacya nomenklatur miejscowych odpowiadała jeszcze rzeczywistym stosunkom zaludnienia. Niema też dowodów na to, iżby rzeczone osady zamieszkałe były w wiekach średnich wyłącznie lub przeważnie przez rycerstwo drobniejsze czy włodycze; owszem, wielokrotnie wykazują one: u góry jednego tylko właściciela, rycerza-szlachcica, u dołu zwykłą ludność włościańską, podobnie jak wsię z końcówką dzierzawczą lub patronimiczną; i na odwrót, włodyków spotykamy wielokrotnie we wsiach zakończonych na *-ów* lub *-ice*. Cokolwiekbyśmy sędzić o przemianach, jakie pod



względem zaludnienia poszczególnych osad w ciągu kilku wieków dokonać się mogły, wolno nam przecież przypuszczać, że chociażby nawet na schyłku średniowiecza, w stuleciu XV, z którego posiadamy dość obfite wiadomości o włodykach, ten rycersko-włodyczy charakter niniejszej grupy osad musiałby jeszcze w pewnej mierze przeziarać ze źródeł, tego zaś bynajmniej w nich nie widzimy. Że na Kujawach, w Dobrzyńskim i na Mazowszu, a więc w tych krajach, w których rzeczono osady są najliczniejsze, aż do końca istnienia Rzpltej przeważa element drobnej szlachty zagonowej i chodackowej, w tem niema jakiegokolwiek poparcia zwalczanej tu teorii, albowiem zdaniem autora, które zresztą uważam za słuszne, o ile chodzi o okres, w którym proces tworzenia się szlachty został zamknięty, pomiędzy szlachtą zagonową a dawniejszymi włodykami niema jakiegokolwiek związku genetycznego; myśl takiego związku jest tak przeciwną autorowi, że wszystkim bez wyjątku włodykom każe w ciągu wieku XIV i XV emigrować z całej rdzennej Polski do świeżo zajętej Rusi halickiej, nie wyświetlając bliżej, jakie tam były dalsze ich losy. Wreszcie przypomnieć też muszę, że w Czechach mamy też znaczną bardzo ilość osad, należących do tej samej grupy co i niniejsze polskie, jak Všeřdy (pyszni), Strádalý (cierpiący), Kvilici (narzekający), Libosváry (pochopni do swarów), Pyskocely (całujący usta), Kosmonosy (krzywonosy), Poděbrady (brodaci), Holohlavy (łysy), Běloky (białoccy), Tatobity (bijący złodziei), Hřdlorazy (zabójcy). Zajekury (złodzieje drobiu), Hlupohlavy (głupcy), Žabokliky (skrzeczący jak żaby), Neznabohy (bezbożni) i t. d. i t. d. A jednak osady te nie stanowią tam bynajmniej pogranicza obronnego, owszem rozrzucone są po całym kraju; niema też i tutaj dowodów, i nikt też w nauce czeskiej nie postawił twierdzenia, jakoby je zasiedlili włodycy (znani także w Czechach), lub wogóle jakiegokolwiek rycerstwo, w przeciwstawieniu do innych osad, zasiedlonych przez ludność wieśniaczą. Jednakowa metoda tworzenia tych nazw w Polsce i w Czechach, wskazuje, że sięgają one początkiem swoim bardzo odległych czasów. Oczywiście nie wszystkie. Jak co do osad patronimicznych da się niewątpliwie stwierdzić, iż niektóre z nich powstawały dopiero w czasach późniejszych, tak trzeba też początek pewnej ilości wsi, do niniejszej grupy należących, odnieść do tego samego okresu. Jeżeli w szeregu nazw, jakie tutaj należą, znajdujemy takie, jak Bogusze, Cibory, Lutobory, Pełki, Sędziwuje, Bolesięta, Niemierzęta, Sędzięta, to można przypuścić, choć także nie z całą pewnością, przynajmniej nie co do wszystkich, że powstały dopiero po wyosobnieniu się z pierwotnej ludności osobnego stanu rycerskiego; popobnież szereg imion, jak Andrzejki, Biernaty, Damiany, Jakusze, Klimunty, Janowięta, Maciejowięta, Pawłowięta, wskazuje, że początek tych osad nie może być wcześniejszym nad wprowadzenie chrześcijaństwa, choć zarazem niema jakiegokolwiek przyczyny do przyjmowania, żeby to były osady rycerskie. Nadto przeciw tym, stosunkowo nielicznym nomenklaturom, stoi przeważna ilość innych,

które nie dają żadnej podstawy do nadawania odnośnym faktom osadnictwa daty późniejszej; żeby się tu oprzeć tylko na rejestrze zestawionym przez autora, podaję następujące: Bieńki, Borzymy, Daćbogi, (niekoniecznie Teodory), Falibogi, Grzymki, Maciołki, Mieciki, Niezabądy, Rymuły, Sobki, Tworzymirki, Włosty, Wydźgi, Cierpięta, Kusięta, Łanięta, Minocięta, Waładzięta, Wyczęta, Zanięta. Pomijam dalszą grupę nomenklatur, jaka tu należy, obejmującą proste powtórzenia nazw ze świata zwierzęcego, jak Byczki, Cioletniki, Czajki, Czaple i t. p., ta bowiem jest obojętną przy dochodzeniu niniejszego pytania, podobnie jak przezwiska, zaczerpnięte z pewnych właściwości ludzkich, fizycznych lub moralnych, jak Tuligłowy, Kozierogi, Wąsosze, Grubale i t. p. Szczególny nacisk kładę na przezwiska, do których utworzenia dały podstawę bądź to rodzaj zajęcia, bądź też pewne szczególne wypadki w życiu. Gdyby rzeczony rody należały do warstwy rycerskiej, spodziewałbym się tu znaleźć jakiś obfitszy zasób przezwisk, wskazujący na ich kondycją rycerską, więc czy to na ich wojenny sukces, czy na niepowodzenie orężne, na jakiś osobny rodzaj uzbrojenia, czy szczególny sposób robienia bronią i t. p. Tymczasem przezwisk takich prawie że tu nie znajduję wcale. Powały, Szamotuły, Waliwnory, Złomirogi, chyba że tu nie należą, jeśli uwzględnimy, że chodzi o czasy, w których człowiek, niekoniecznie rycerz, skazany był na ustawiczną walkę z przyrodą i — z człowiekiem. Wahałbym się tu nawet, z tego samego powodu, zaliczyć Samostrzele. Jedyne chyba Bojany, może tu należą, a wątpię już czy istnieje konieczna potrzeba liczyć się z Soboklęskami. Cały bogaty skarb isticie staropolskiego humoru i dowcipu, jaki w tych przezwiskach się kryje, objawiającego się często w sposób rubaszny i dosadny, ale zawsze jędrny i trafny, w zasobie przezwisk stosunkowo bardzo licznym, nie znalazł prawie ani razu sposobności uchwycenia jakiegoś szczegółu, któryby o rycerskiem pochodzeniu odnośnego rodu świadczył. Są natomiast Kurozwęki i Drzykozy, których podobno nie można poczytać za świadectwo zajęć rycerskich.

Na wszelki sposób, pokąd wszystkie powyższe wątpliwości nie zostaną usunięte, wolno przypuszczać, może z większem nawet prawdopodobieństwem, że powstanie dość nawet znacznego zasobu niniejszej grupy osad, może sięgać tak samo prawięku, jak powstanie osad patronimicznych, a więc doby, w której o wyłącznie rycerskiem ich zaludnieniu mowy być nie może, z powodu, że osiedlające się na obszarze Polski społeczeństwo nie było jeszcze w tym czasie zróżnicowanem na poszczególne grupy społeczne, jakie spotykamy później. Wolno zatem twierdzić, że powstanie tych osad jest współrzędnem i równorzędnem z powstaniem osad patronimicznych, i że obie zasiedlała taka sama ludność, ta, z której później, przez zmianę stosunków społecznych i gospodarczych, część wyniosła się w górę, jako stany wyższe, część zaś spadła na dół, jako ludność wieśniacza, bez względu na to, czy się to działo w Dalechowicach, czy w Kurozwękach. Tak pojęta rzecz rzucza jaskrawe

oświetlenie na teorią o rodowym zasiedleniu pierwotnych wsi polskich i stanowi walne jej poparcie; bo co do Kurozwęk i całej tutaj należącej grupy osad nikt nie wątpi, że powstały przez osiedlenie się całego rodu (lub przynajmniej pewnych jego odgałęzień); najlepsza wskazówka na to, że takiemu samemu faktowi rodowego zasiedlenia zawdzięczać też mogły początek osady patronimiczne. Dlaczego raz nazwano wieś Dalechowicami, innym razem Kurozwękami, wytłómaczyć łatwo: raz brano wzgląd na pochodzenie rodu od pewnego przodka, czy też na imię chwilowego starosty rodowego, innym razem na przezwisko, jakie ród przypadkowo otrzymał; w obu wypadkach nazwa, co do swej istoty, oznaczała to samo: ogół stryjców rodowych, zasiedlających daną miejscowość. Że tych przezwisk rodowych, a zatem też i odpowiadających im nazw osad stosunkowo więcej na Mazowszu tudzież w sąsiednich ziemiach kujawskich, wytłómaczyć łatwo miejscowemi właściwościami i psychologicznym nastrojem tamtejszego plemienia, wyróżniającego się nie pod tym jednym tylko względem od innych plemion polskich.

W związku z poprzednimi wywodami należy mi rozpatrzyć jeszcze jedno zapytywanie, dotyczące historii pierwotnego osadnictwa w Polsce. Mam tu na myśli sprawę powstania osad o nazwach, utworzonych z wyrazów pospolitych, jak Potok, Dąbrowa, Niwa, Łęg, Suchodół i t. p. Autor *Chrobacyi* uważa je za formacje późniejsze, powstałe w ten sposób, że obok wsi pierwotnie zasiedlonych, o końcówkach patronimicznych, dzierżawczych i t. p., powstawały one z biegiem czasu przez założenie i rozszerzenie gospodarstwa folwarcznego właścicieli odnośnych wsi, i nazywa je z tego powodu przysiółkami. Zapytywanie to przyjmuje w zupełności prof. Piekosiński, a łącząc je z innym, które wydobyły na jaw nowsze, obfite źródła, iż system gospodarstw folwarcznych szlachty upowszechnia się w Polsce dopiero w wieku XV, wnioskuje konsekwentnie, iż rzeczona grupa wsi w przeważnej, znakomitej większości, powstała dopiero w wieku XV i XVI. Przeciw temu protestują stanowczo nasze dyplomaty, już z najwcześniejszej doby, z której się nam dochowały, z wieku XII i XIII. Szanowny autor, jako też i łaskawy czytelnik wybaczą mi zapewne, że w niniejszych luźnych uwagach ogólnych nie występuję z gotowem, ścisłem zestawieniem statystycznym. Proszę jednak przejrzeć spis miejscowości do jakiegokolwiek Dyplomatarjusza, obejmującego dokumenty z XII i XIII w.; ilość wsi, których nazwy utworzono z appellatywów, jest tam tak znaczną, że gdyby sobie zadać trud zestawienia ich stosunku procentowego do nazw wsi o końcówkach patronimicznych, dzierżawczych i t. p., stosunek ten dałby zapewne takie same lub mało co mniejsze cyfry, jak je wykazuje zestawienie statystyczne, oparte na rejestrach z XVII wieku. Nie mam oczywiście zamiaru przeczyć wiadomemu faktowi, że jeszcze w stuleciu XV i następnym założoną została na nowym korzeniu niejedna wieś, której nazwę urobiono z jakiegoś wyrazu pospolitego; muszę jednak, ze względu

na przytoczone poprzednio okoliczności, podtrzymywać zdanie, że czas powstania przeważnego zasobu osad, biorących nazwę z appellatywów, należy cofnąć znacznie wstecz, i że cały ten zasób istnieje już co najmniej w wieku XII i XIII. Ponieważ zaś w czasie tym o powstaniu i rozszerzeniu się gospodarstw folwarcznych szlacheckich jeszcze mowy być nie może, przeto wynika stąd, że pomiędzy powstaniem niniejszej grupy wsi, a rzeczoną nową formą gospodarstwa rolnego nie zachodzi żaden związek genetyczny, jak nie mniej, że niema powodu uważać ich za przysiółki, a więc za rodzaj akcesoryów, w stosunku do innych pierwotnych typów osadnictwa, a owszem początek ich odnieść można do samoistnych faktów zasiedlenia, takich samych, jakim zawdzięczają powstanie inne grupy osad; wszystko to tem bardziej, że z samego topograficznego położenia rzeczonych wsi nie udało się dotąd wykazać — i wątpię, iżby wykazać można — ich przydatkowości wobec tamtych pierwotnych typów osadnictwa. Usuwając podstawę, na jakiej opierano dotąd wyjaśnienie genezy niniejszej grupy osad, szukamy w czasach dawniejszych napróżno za jakąkolwiek inną, któraby nam początek ich pozwoliła odnieść do jakiegoś odrębnego faktu historycznego lub szczególnego sposobu zasiedlenia; zaczem, mając na względzie i tę okoliczność, iż rzeczone wsie już w najdawniejszych naszych źródłach występują w dość znacznej ilości, wolno nam przypuścić, że początek ich, przynajmniej częściowo, sięgać może także prawniku, t. j. pierwszej chwili osiedlenia Polski przez plemiona polskie, jak niemniej, iż sposób ich osiedlenia mógł być taki sam, jak i po wsiach, należących do innych typów osadnictwa — rodowy. I nie można się temu dziwić bynajmniej. U ludów pierwotnych nie dzieje się wszystko według narzuconego z góry szablonu i jednolitej recepty, jak w dzisiejszem państwie bojaźni Bożej, niewczesnych adresów profesorskich i niemożliwej kuchni. Formy, w jakiej się ich życie przejawia, mają niewątpliwie jeszcze świeżą, istotną treść, ale mogą być różnolite. Jakąkolwiek grupę nazw osad wiejskich weźmiemy pod rozwagę, łącznie z niniejszą, będziemy musieli przyznać, że każda znaczyła coś prawdziwego, że była uzewnętrznieniem pojęciowem pewnego rzeczywistego stanu rzeczy; ale nie możemy uważać naszych praojców za takich pedantów, żeby nazwawszy jedną wieś Dalechowicami, dlatego, że tam siedział ród Dalecha, inną Białokozami, dlatego że zasiedlony tam ród nosił ten przydomek, nie mogli innej wreszcie, według szczególnych, pod zmysły podpadających właściwości topograficznych, nazwać Potokiem, Łęgiem, Dąbrową, mimo, że biorąc wzgląd na ludność tamże osiadłą, byłiby ją mogli nazwać może Jaroszcycami lub Łyskami. Podnoszę jeszcze, że tworzenie nazw według właściwości topograficznych nie było i nie mogło być obcem naszym przodkom w prawniku, skoro metodę tę stosowano już wtedy do strumieni, rzek, wierzchołków i pasm górskich i t. p. i dodaję, że już w najstarszych dokumentach z XII w. spotykamy dowody, stwierdzające, jako nazwy Brzeźnica i Łąka przekształcają się na Jędrzejów i Bartłomiejów, w czem

dowód, że owe nomenklatury, utworzone z appellatywów, są w tych wypadkach pierwotne.

Wywody autora o wsiach t. z. służebnych czyli narokowych, zgodne zresztą podstawowo z zapatrywaniami prof. Wojciechowskiego, nie nastroją mi pola do zasadniczych komentarzy. Niejasną jest tylko dla mnie jego argumentacja co do czasu ich powstania. Na str. 10 wprowadza on je w ścisły związek z urządzeniem obrony grodowej na rubieżach państwa przez Chrobrego, której wyrazem miały być wspomniane u Galla wielkie obozowiska rycerstwa polskiego pod Poznaniem, Gniezmem, Gieczem i Włodzisławiem; dla zaspokojenia potrzeb tych i innych załóg miał Bolesław ustanowić przy grodach służbę narokową. Na str. 12 stwierdza jednak, że w pobliżu Giecza i Włodzisławia żadnych naroczników niema, co już jest rzeczą budzącą bardzo poważne wątpliwości, skoro pod obu tymi grodami skoncentrowane były ogromne, jak na owe czasy, ilości rycerstwa 2800 i 2300 głów, potrzebujące na szerokie rozmiary usług narokowych. Nadto twierdzi tu autor, że jednak założenie owych wielkich obozowisk w rzeczonych czterech miejscowościach wyprzedza »niewątpliwie« o wiele czasy Chrobrego, że mimo to jednak Poznań i Gniezno mogły dostać swoich naroczników później, t. j. dopiero za Chrobrego. Taka argumentacja nie może żadną miarą przekonać czytelnika, że w istocie dopiero Bolesław jest twórcą urządzeń narokowych, boć równem prawem przypuścić można, że ustanowiono je jeszcze dawniej; owszem, ze stanowiska teorii autora należałoby to nawet przypuścić koniecznie, skoro owe wielkie obozowiska, a zatem także potrzeba obsługi rycerstwa, istniały na długi czas przed Chrobrym. Sprawa chronologii osad narokowych wymaga zatem również jeszcze rewizyi naukowej, która, niewiadomo, czy zdoła podtrzymać wypowiedziane w tej mierze przez autora zapatrywania. Szczegół o ustanowieniu daniny, zwanej *stróżą*, przez Chrobrego, można do badań naukowych wprowadzać co najwięcej pod znakiem zapytania; najwcześniejsza bowiem wiadomość, jaką o tem posiadamy, znajduje się dopiero w późnej Kronice Wielkopolskiej. Znajdujemy tu wreszcie nową, niewiadomo którą już z rzędu w nauce naszej, próbę wytlómaczenia genezy nazw: *narok* i *narocznicy*. W jednej z dawniejszych prac wyjaśniał ją autor w ten sposób: *rok* oznacza termin sądowy, *roki* kadencją sądową, zatem przenośnie władzę sądową czyli sąd; ponieważ zaś głównym przedstawicielem sądownictwa w poszczególnych okręgach państwa jest kasztelan, zarazem naczelnik grodu, osady zaś służebne są właśnie przeznaczone do tego, ażeby pracą swoją zaspakajały potrzeby grodu, więc kasztelana i jego rycerstwa, przeto ludność ich otrzymała nazwę naroczników. Od tej, bardzo zawilej i skomplikowanej interpretacji, wymagającej kilkakrotnego przesuwania i przestawiania pojęć, bardzo słusznie odstępuje teraz autor, i daje inną: *rok* oznacza tyle co przeciąg czasu; ponieważ zaś ludność służebna spełniała w grodach swoje służby częściowo i kolejno, zmieniając się w pewnych odstępach czasu, przeto na-

zwano ją narokiem, narocznikami. Nie wiem, czy autorowi wiadomo, że dosłownie taką samą interpretację tego wyrazu ogłoszono już w latach siedmdziesiątych, również ze strony bardzo poważnej. Mimo to wszystko czuję, choć nie umiem tego gramatycznie uzasadnić, że jakoś nie bardzo odpowiada ona duchowi naszego języka; jako argument rzeczowy dodają ponadto, że w tym razie nazwa nie określałaby zasadniczo charakteru ludności narokowej, jeno tylko jeden ze sposobów, w jaki ona wykonywała swoje służby. Wolę przyjąć, że słowo to pochodzi wprost od czasownika, w którym tkwią już obie jego części składowe, a więc od: *narzec*, podobnie jak od *wyrzec* pochodzi *wyrok*, *wyrocznia* i t. p. Otoż *narzec* znaczy w języku naszym tyle co przeznaczyć; wszakże my po dziś dzień jeszcze dwoje ludzi przeznaczonych sobie (w stadło małżeńskie) nazywamy narzeczonymi. Zatem i *narocznicy* znaczy tyle, co przeznaczeni (do służby w grodzie). Ostatecznie interpretacja moja stwierdza tylko to, co z dawna już wiedzieliśmy o organizacji narokowej, tylko że — jak śmiem skromnie przypuszczać — ma filologiczne nogi. Jeżeli mimo to pp. słaWiści osądzą, że mi się za ten mój ekskurs filologiczny należy ojcowski basarunek, poddają się im z góry w pokorze, jako żem wielki prostak w tych rzeczach, rad, że podadzą lepsze tłumaczenie wyrazu.

Autor, wytrawny i gruntowny znawca stosunków naszych pierwotnych, rozumie całą doniosłość, jaką w nich przedstawia organizacja rodowa; i on więc nie może się uchylić od tego, ażeby jej nie wyznaczyć odpowiedniego miejsca pośród czynników, wpływających na ukształtowanie najstarszych urządzeń gospodarczych i społecznych w ziemiach polskich. Pomijam to, co autor rozwinął szeroko w wielu pracach dawniejszych o rodowej organizacji rycerstwa polskiego; gdyby bowiem nawet stanąć na stanowisku wyznawanej przezeń teorii najazdu, wypadłoby, że chodzi tu o urządzenie elementu w zasadzie obcego, który w pierwotnym zasiedleniu Polski żadnego nie brał udziału; gdybym zaś, jak słuszna, uważając rycerstwo polskie za element rodzimy, chciał całą teorię najazdu poddać na tem miejscu krytyce, odbiegłbym daleko od zakreszonego tematu, wyłącznie sprawom pierwotnych stosunków ludności wieśniaczej poświęconego. Zaznaczam jednak, że nawet i co do ludności wieśniaczej, która, według jego teorii, w przeważającej części wywodzi początek z ujarzmionych tubylców, a przeto stanowi pierwszy i główny zaczyn polskiego zaludnienia ziem naszych w prawięku, autor również przyjmuje, iż musiała mieć organizacją rodową, i że ta organizacja znalazła jakiś zewnętrzny wyraz w sposobach i formach pierwotnego osadnictwa. Wyrazem tym, według jego rozumienia, jest — o p o l e. Hypoteza autora o pierwotnym osadnictwie, ujęta pokrótce w jedną całość, przedstawia się zatem w sposób następujący: Każda pierwotna osada polska jest wynikiem faktu jednostkowego zasiedlenia, dokonanego przez jednego tylko ojca rodziny; ogół wszystkich ojców rodziny, należących do tego samego rodu, nie rozprasza się jednakowoż luzem po

całym kraju, lecz owszem każdy z nich zakłada taką samą jednostkową osadę w pobliżu drugiego; suma kilkunastu lub kilkudziesięciu osad sąsiednich, stanowiących razem opole, odpowiada zatem ściśle pierwotnemu rozprzestrzenieniu się rodu.

Mniemanie to, gdyby je przyjąć można, stanowiłoby niewątpliwie kotwicę zbawczą teorii jednostkowego zasiedlenia pierwotnych wsi polskich, bądź co bądź bowiem znalazłoby się tu także miejsce i na organizacją rodową — w instytucyi opoli. Atoli wszystko, co o urządzeniach opolnych wiemy, przemawia bardzo stanowczo przeciw takiemu przypuszczeniu. Naprzód, sama nazwa *opole* nie odnosi się w niczem do związku rodowego, tkwi w niej tylko pojęcie sąsiedztwa terytoryalnego; toż samo pojęcie mieści się też w współczesnych tłumaczeniach tego wyrazu: łacińskiem *vicinia* i niemieckiem *gegenote* (*gegend*). Jest w tem jakoby zewnętrzne świadectwo na to, że opole nie jest jednostką rodową, ale terytoryalną. Powtóre, jak na to zwróciliśmy już uwagę poprzednio, istotnem znamieniem związku rodowego jest prawo, przysługujące stryjcom rodowym, pobierania okupu za zabitego krewniaka, jako też prawo przyzwalania na pozbycie dóbr rodowych. O obu tych prawach mamy liczne wzmianki w naszych źródłach średniowiecznych, ale w żadnem z nich, choćby nawet najdawniejszych, niema jakiegokolwiek śladu, iżby one przysługiwały członkom opola jako takim. A przecież, jeszcze do XIII wieku włącznie, organizacja opolna, lubo już rozprzegająca się, zawsze jeszcze w zasadzie trwa, i mamy o niej liczne, czasem nawet obszerne i szczegółowe, jak w Księdze elbląskiej, wiadomości. Mimo to żadne źródło nie wspomina ani słowem, bezpośrednio, czy chociażby pośrednio, o rzeczonych dwu prawach, jakieby w tym wypadku przysługiwać musiały członkom opola, mimo, że z tego samego czasu posiadamy już dość szczegółowe wiadomości zarówno o prawie poboru głów-szczyzny, jako też o prawie przyzwalania krewnych na alienację dóbr. Wogóle, o ile w źródłach naszych najdawniejszych dadzą się odszukać jeszcze wskazówki o resztkach organizacyi rodowej w poszczególnych osadach, o tyle niema w nich nic, coby na charakter rodowy organizacyi opolnej, chociażby z lekka tylko wskazywało. Ponadto wszystko wysuwa się na pierwsze miejsce sprawa urzędnika naczelnego władzy opolnej. Pytania tego autor nie pomija, owszem mówi o niem na dwu miejscach swojej rozprawy, które stoją w sprzeczności do siebie. Na str. 66 w przygodnej uwadze stwierdza, że istniał starosta opolny, jako naczelnik opola; na str. 106, oparty na całym szeregu poważnych argumentów, wywodzi, że starosta opolny istnieć nie mógł, że sprawę opola załatwiała tylko rada starostów wiejskich, w skład jego wchodzących. Przypuszczam, że to ostatnie zapatrywanie, szczegółowo tu rozważone, jest właściwem zapatrywaniem autora, i przyłączam się doń w całości i bez zastrzeżeń, nie powtarzając dowodów; wypowiedziane w tej formie, o ile mi wiadomo, po raz pierwszy w naszej nauce, stanowi ono istotną jej zdobycz, i rzetelną, nie pierwszą

zresztą, zasługę autora, podaje bowiem od razu klucz do wyjaśnienia istoty organizacyi opolnej. Tylko, że to wyjaśnienie da nam wynik, stojący w jaskrawej sprzeczności z teorią o rodowym zasiedleniu opoli, wykazując, że się ona bezwarunkowo utrzymać nie da. Gdybyśmy się przy niej uparli, musielibyśmy odwrócić na wspanak wszystko, co wiemy niewątpliwie i na pewno o urządzeniach rodowych u Słowian wogóle. Na czele słowiańskiego rodu musi bowiem stać starosta, którego w opolu niema; jego kierownictwo sprawami ogólnymi, jeżeli nawet jest ograniczone udziałem innych, to w każdym razie wszystkich dorosłych członków rodu, nie zaś tylko starostów rodzinnych, za jakich w tym wypadku uważaćbyśmy musieli owych starostów wiejskich; wreszcie niema też w rodzie słowiańskim takiej formy rządu, iżby ją bez naczelnego starosty rodowego wykonywali starostowie rodzinni (wiejscy), a więc ciało zbiorowe, bez stojącego na czele przewodnika.

Mniemanie o rodowym związku członków opola nie da się zatem żadną miarą utrzymać; usuwając je, znajdujemy w tem nowe, pośrednie poparcie naszych wywodów poprzednich o rodowym zasiedleniu osad polskich w prawięku; jeśli bowiem dla rodu niema miejsca w urządzeniach opolnych, to gdzież go umieścić, jeżeli nie w osadach samych? Gdybyśmy tego nie uczynili, musielibyśmy nad całą organizacyą rodową w najstarszej formie dziejów naszych przejść do porządku dziennego, spychając na ostatni plan czynnik, który u ludów pierwotnych wogóle, a u Słowian w szczególności, miał znaczenie pierwszorzędne, naprzód się wysuwające, szukając dla siebie odpowiednich form bytu, i który też w odpowiednich formach koniecznie przejawić się musiał na zewnątrz. Opole, jako związek większej ilości sąsiednich osad, jest przez to samo związkiem większej ilości rodów; co do stopnia stoi on zatem na szczyblu wyższym, aniżeli związek rodowy, a co do charakteru swego nie jest już związkiem, opierającym się na żywej jeszcze tradycyi wspólnego krewiństwa, ale związkiem terytoryalnym, jak na to zresztą wskazuje sama jego nazwa.

Jak sobie wytłómaczyć powstanie związków opolnych, i czy mamy je uważać za szczególną tylko właściwość stosunków polskich, czy też znowu, jak w wielu innych kierunkach, za odbicie i przejaw ogólnych urządzeń słowiańskich, stworzonych w prawięku? Rozpatrzmy się w stosunkach naszych pobratymców. Pouczające zestawienia Kraussa wykazały co do Słowian południowych, że jeszcze po dziś dzień istnieją tam następujące związki społeczne: naprzód ród, jako ich komórka zarodowa, następnie braćtwo, jako połączenie kilku lub kilkunastu rodów, wreszcie plemię, jako związek większej ilości braetw. Najnowsze badania Lipperta przemawiają również bardzo wymownie za tem, że także samo stopniowanie związków istniało w pierwotnych Czechach. I my w najstarszej formie dziejów Polski przyjmujemy istnienie dwu końcowych ogniw tego łańcucha: po jednej stronie: rodu, po drugiej: plemienia (Ślęzan, Mazowszan, Polan, Łęczyean i t. d.). Brakło nam



tylko ogniwa pośredniego, między rodem a plemieniem, na którego znaczenie nie położyliśmy dotąd należytego nacisku. Aliści, biorąc na wzgląd urządzenia słowiańskie, nie możemy chyba wątpić, że i u nas takie ogniwo pośrednie istniało, a jest niem właśnie opole. Na podstawie samoistnych, z polskich tylko źródeł zaczerpniętych wskazówek, okazało się, że musi to być połączenie większej ilości rodów; jeżeli więc gdzieindziej, przy równoczesnem istnieniu obu ogniw końcowych, spotykamy bractwa jako także samo połączenie kilku rodów, w charakterze ogniwa środkowego, to nie możemy wątpić, że ta sama rola, jaką gdzieindziej spełniały zrazu bractwa, przypadła u nas w Polsce związkowi o tym samym charakterze, choć odmiennej nazwie, opolu. Opola mają zatem również grunt w prastarych urządzeniach słowiańskich, w czem znowu leży pośrednie stwierdzenie poprzednich naszych spostrzeżeń; w ich oświehleniu bowiem opola (bractwa) przedstawiają się jako rzecz prawidłowa, ogólnie u całego szerepu przyjęta, z pierwotnych jego potrzeb wysnuta.

Jakimże tedy potrzebom zawdzięczają bractwa swoje powstanie? Najnowsza nauka tłómaczy ich genezę w sposób następujący: W prawieku jako zasadniczy typ organizacyi społecznej występuje ród; jest on nie tylko ową komórką zarodową, z której w dalszym rozwoju rzeczy powstaną związki organiczne wyższego rzędu, ale także, na razie, jedynem tego rodzaju związkiem o samoistnym bycie i wyrobionej już formie. Niema jeszcze państwa, a przeto także i władz państwowych, ani też jakichkolwiek innych wyższych połączeń społecznych. Jedynym czynnikiem, który stoi na straży wewnętrznego pokoju, jest ród; on też obejmuje gwarancją jego utrzymania. Ta gwarancya nie może jednak sięgać dalej, niż sfera wpływów samego rodu, t. z. poza obręb rodu; ród ma obowiązek i znajduje możność utrzymać pokój nie gdzieindziej, jak tylko pośród siebie. Jeżeli więc jeden z jego członków naruszy prawo, wyrządzi krzywdę drugiemu członkowi tegoż samego rodu, jest rzeczą naczelną władzy rodowej, czy to starosta samego, czy też współ z wszystkimi dorosłymi członkami rodu, wymierzyć poszkodowanemu sprawiedliwość, przywrócić naruszony stan prawny. Aż dotąd funkcye i działalność rodu przedstawiają zupełną analogią z działalnością późniejszych związków wyższego rzędu. Inaczej przedstawia się rzecz, jeżeli naruszenie praw członka jednego rodu nastąpi ze strony członka innego rodu. Krzywdziciel nie może być przez pokrzywdzonego, lub występujący za nim cały ród, pociągnięty do odpowiedzialności, nie podlega bowiem w niczem jego władzy, należąc do związku, który jest zamkniętą w sobie całością, jednostką udzielną, tak dobrze, jak udzielnym jest także w swoich sprawach ów ród drugi i każdy inny. Prawnej formy naprawienia wyrządzonej krzywdy nie ma już zatem żadnej; jedynym sposobem załatwienia sporu jest tylko walka. Ścisłość związku rodowego, jego interesy gospodarcze, a mianowicie potrzeba zachowania dla siebie jaknajwiększej ilości zdolnych do sprawiania wspólnej ziemi pracowników,

powoduje, że w tej walce nie stają naprzeciw sobie odosobnieni krzywdziciel i pokrzywdzony, ale owszem po każdej stronie cały odnośny ród. Na tej zasadzie opiera się starożytne prawo pomsty jednego rodu przeciw drugiemu, którego szczątki na długie czasy potem utrzymały się we wszystkich prawach słowiańskich, mimo wytworzenia się związków wyższego rzędu. Takie urządzenie stosunków prowadzi, albo przynajmniej prowadzić może do ciągłych starć pomiędzy poszczególnymi rodami; stwarza, na granicach wpływów rodowych, ustawiczną niepewność stosunków, daje rodom silniejszym, w ludność zasobniejszym, możność bezkarnego krzywdzenia słabszych. Przeświadczenie o ujemnych stronach takiego stanu rzeczy rodzi myśl zespolenia się większej ilości sąsiadujących rodów w związek, któryby teraz w całej swojej sferze działania objął taką samą gwarancją pokoju, jak ją dotąd wykonywał ród w swoim zakresie, i któryby w ten sposób owym walkom rodowym zapobiegł. Tak powstaje bractwo. Naruszenie prawa między członkami dwu rodów staje się obecnie sprawą, która w pokojowy sposób załatwić się ma przed naczelną władzą bractwa, przyczem prawo zemsty pokrzywdzonego na krzywdzicielu, może być utrzymanem nadal, jako kara orzekana przez bractwo, i to bądź jako kara rzeczywista, bądź tylko jako symboliczna, jak się ona przedstawia naprzykład w polsko-czeskim instytucie pokory; może wreszcie owo prawo zemsty być przetworzonym na okup, wyrównujący materyalną wartość materyalną stratę rodu jaką tenże poniósł skutkiem ubytku jednego z swych członków lub uniezdolnienia go do pracy. Ponieważ bractwo powstało z szeregu związków niższych, z których każdy był dla siebie jednostką udzielną, i to z dobrej woli każdego z nich, przeto organizacja naczelnej władzy bractwa musi odpowiadać, co do charakteru swego, temu właśnie założeniu; dlatego władza ta nie może się dostać jednemu tylko z dawniejszych starostów rodowych, lub członkom jednego tylko rodu, owszem udział w niej uzyskać muszą wszyscy przedstawiciele owych niegdyś udzielnych jednostek, przynajmniej wszyscy starostowie rodowi, jako starszyzna bractw. W zupełnie podobny sposób dokonuje się proces zjednoczenia związków wyższego jeszcze rzędu: tak powstają naprzód plemiona jako związek większej ilości bractw, które można uważać już za utwory państwowe, jak niemi były n. p. plemienne żupy w pierwotnych Czechach przed powstaniem jednolitej monarchii czeskiej, lub plemienne państwka dawniejsze na ziemi naszej przed zjednoczeniem Polski Piastowskiej; z połączenia państwtek plemiennych powstaje wreszcie państwo narodowe. Że na tych wyższych szczeblach formacji społeczno-państwowych mogą odegrać rolę także inne czynniki twórcze, jak n. p. nie tylko dobrowolny związek, ale zawojowanie jednego plemienia przez drugie, że skutkiem tego usuniętą być może z widowni wspólna władza starszyzny, a wysunąć się naprzód władza jednego tylko naczelnika, stojącego na czele plemienia zwycięskiego, rozumie się samo przez się.

Tłómaczenie powyższe jest bardzo składnem; uderza ono prostotą i jasnością. I w tem już niemała jego zaleta, bo hipoteza naukowa, jeśli już wogóle do hipotez uciekać się trzeba, im prostsza, tem lepsza i pewniejsza. Zapewne, można powiedzieć, że jest ona pięknie pomyslaną formułką, stworzoną dla zapelnienia luki dziejowej, o której pozytywnych wiadomości nie mamy, tem łatwiejszą do postawienia, że się nie da skontrolować dokładnie źródłami. Jakoż nie śmiałybym się na nią powoływać, gdyby mnie pociągała tylko swoim wewnętrznym prawdopodobieństwem; muszę jednakże zaznaczyć, że na jej tle da się wyjaśnić najdokładniej wszystko to, co nam źródła niewątpliwe przekazały o organizacyi opoli polskich, jako też funkcjach, jakie one spełniały. I to jest powód, dlaczego ją nie tylko za prawdopodobną, ale wprost za usprawiedliwioną uważam w odniesieniu do pierwotnych opoli w Polsce, odpowiadających, jak już wspominałem, słowiańskim bractwom.

Naprzód wchodzi tu w rachubę urządzenie naczelných władz opolnych. Źródła wspominają o lasce opolnej; zapomocą laski zwoływano u nas w najdawniejszych czasach zgromadzenia. Na czele opola stało zatem jakieś zbierające się od czasu do czasu ciało zbiorowe, a więc nie jeden tylko starosta, jak w rodzie; w pierwotnych stosunkach przyjąć tu zatem należy zgromadzenie przynajmniej wszystkich starostów rodowych (wiejskich), jako władzy kierującej. Domysł autora, tej samej treści, mimo mylnych wyobrażeń, jakie sobie o charakterze związków opolnych wyrobił, wskazuje, znowu nie po raz pierwszy, jak bystro umie patrzeć na przejawy pierwotnych naszych urzędzeń. Organizacya naczelnej władzy opolnej polega tedy, podobnie jak w bractwach, na stosunku koordynacyi przedstawicieli poszczególnych rodów (pierwotnych wsi) jako równorzędnych części składowych związku. To, co w dzisiejszej naszej nauce nazywamy czołem opola, środowisko i poniekąd stolica całego związku, było niewątpliwie miejscem, w którym się starszyzna opolna zbierała na zgromadzenia; czołem tem stawała się snac osada, która dała inicjatywę w zawiązaniu związku lub też przedstawiała ród w związku tym najsilniejszy i najbardziej wpływowy. Z trzech znanych nam funkcyj opola wymieniam przedewszystkiem dwie; obowiązek członków jego do składania świadectwa w sporach granicznych, tudzież ich odpowiedzialność karną za zbrodnie na terytorjum opolnem popełnione, w razie jeżeli sprawca nie mógł być wysłędzonym. Pierwsza funkcyja ma na celu załagodzenie najważniejszych sporów cywilnych, druga utrzymanie stanu prawnego wobec możliwych bezprawii karnych. Obie — łącznie — zmierzają do utrzymania i zabezpieczenia pokoju wewnętrznego w opolu. A więc te same funkcyje, jakie spełniały bractwa. Obie, od czasów najdawniejszych utrzymywały się w niezmiennym kształcie aż do tej chwili, w której nam o nich nasze źródła historyczne z XIII w. dokładną podają wiadomość. Zapatrywanie to co do świadectwa granicznego nie podlega żadnej wątpliwości. Co do odpowiedzialności karnej wyraził autor w jednej z dawniejszych swoich prac

przypuszczenie, jakoby była formacją późniejszą, ciężarem, narzuconym opolu dopiero wtedy, kiedy się wytworzył wielki organizm państwowy i uкрепиła władza książęca. Zdania tego nie mógłbym żadną miarą podzielać. Skoro opole-bractwo powstało w tym celu, ażeby zabezpieczyć pokój swoim członkom, i gwarancją tego pokoju na siebie przyjęło, to trzeba było stąd wysnuć praktyczne konsekwencye: jeżeli zatem sprawca krzywdy na terytoryum opolnem nie mógł być odszukany, to musiało ono już od razu przyjąć na siebie obowiązek materialnego jej wobec pokrzywdzonego wynagrodzenia, jakie otrzymałby od sprawcy, gdyby go odszukano. Nie jest nawet pewną rzeczą, czy w w. XIII opole, prócz odpowiedzialności wyłącznie prywatnego charakteru, t. j. wobec krewnych zabitego, względnie o ile chodziło o chłopa, także wobec jego pana (wypadek omówiony w Księdze elbląskiej), ponosiło nadto odpowiedzialność wobec władzy publicznej, w formie osobnej winy, uiszczanej obok głowszczyzny, na rzecz księcia. Wiadomo, że odnośne miejsce Księgi elbląskiej jest widocznie zepsutem i nie daje podstawy do stanowczego rozwiązania kwestyi; twierdzenie Hubego, który obok odpowiedzialności wobec pokrzywdzonego przyjmuje także odpowiedzialność wobec księcia, jest tylko hypotetyczną próbą interpretacyjną. Gdybyśmy wszelako nawet przyjęli, że odpowiedzialność opoli jest w tym wypadku rzeczywiście dwojaką, to nie zmieni to w niczem zasadniczego poglądu, poprzednio wypowiedzianego; można bowiem zrozumieć, że w miarę, jak się z biegiem czasu utrzymywała idea pokoju pospolitego, na którego strażę stanęło państwo, tudzież jego przedstawiciel, książę, tak też i zbrodnia popełniona wymagała odpowiedniej ekspiacyi, nie tylko wobec pokrzywdzonego, ale także wobec naruszonego pokoju pospolitego, w formie winy książęcej. Winę tę można wszelako snadno uważać tylko jako zewnętrzny przydatek do pierwotnej winy prywatnej w ścisłem tego słowa znaczeniu (głowszczyzny). Podwójna odpowiedzialność opoli jest zatem w najlepszym razie rozszerzeniem dawniejszej odpowiedzialności jednostronnej; o tyle można się tu dopatrzeć modyfikacji pierwotnej funkcji opoli; ale niema podstawy do twierdzenia, jakoby odpowiedzialność wobec samego pokrzywdzonego nie mogła już wprawku stanowić właściwości organizacji opolnej, w czasie kiedy jeszcze do wytworzenia silnego organizmu państwowego nie przyszło. Stopniowe przerzucanie tej odpowiedzialności na co raz ściślejsze koła: z opola na osadę, jeśli natrafiono na ślad złoczyńcy, do osady prowadzący, z osady na ród, jaki w niej prowadził jeszcze wspólne gospodarstwo, wreszcie z rodu na samego sprawcę, świadczy o zmyślnem bardzo, jak na stosunki pierwotne, urządzeniu policji śledczej; wobec ciężącej grozy uczestnictwa w spłacie okupu dawał ten środek pewność lub przynajmniej prawdopodobieństwo, że ci, którzy wiedzą coś o zbrodniarzu, nie omieszkają go wskazać, jeśli nie po imieniu, to przynajmniej w osadzie albo w wspólnocie rodowej, byleby tylko zwalić z swych bark odpowiedzialność. W ostatecznym wyniku owo kolejne przerzucanie odpowiedzialności

miało w pierwszym rzędzie na celu: wyszukanie i ukaranie winowajcy, wobec którego odpowiedzialność opoli, osad i wspólnot rodowych, przedstawiała się tylko jako rzecz drugorzędna i posiłkowa; główny cel bractwa, utrzymanie pokoju w odnośnym okręgu, przez represyą przeciw tym, którzy go naruszają, wysuwa się tu znowu na pierwsze miejsce.

Trzecia funkcyja opola, jak ją spotykamy już w czasach historycznych, poświadczoną całym szeregiem dokumentów, a mianowicie uiszczanie pewnych świadczeń sposobem opolnym na cele państwowe, nie zdaje się, iżby mogła być odniesioną do czasów pierwotnych, chociażby w jakimkolwiek odmiennym, zmodyfikowanym kształcie. Sama istota i treść tego obowiązku wskazuje na to, że powstał on dopiero w chwili, kiedy się ukrzepiła silna władza książęca, nakładając na społeczeństwo rozmaite świadczenia na cele państwowe. Co do niniejszej funkcyi opola przyznaję zatem słuszność zapatrywaniom autora, że jest ona przejawem chronologicznie późniejszym, którego istnienia nie można odnosić do prawnieku.

Że autor zasadniczy swój pogląd na pierwotne dzieje i organizacyą ludności wieśniaczej ujmuje w ogólne ramy hipotezy najazdu, że pod każdym względem stara się go do niej przystosować i zgodzić z nią, nie może być dla nas niespodzianką. Owym »praojcom naszym«, jak ich często nazywa, czyli, jakby ich raczej ze stanowiska jego teoryi nazwać należało, owym »praojcom naszych chłopów«, którzy się w ziemiach polskich w VI wieku osiedlili — mimo wielki fakt dziejowy, jakiego dokonali, wynajdując nam wszystkim dzisiejszą naszą ojczyznę, nie było przecież sądzonem w późniejszym rozwoju społecznym i politycznym odegrać wybitniejszej roli, w późniejszej pracy cywilizacyjnej, prowadzonej przez tyle wieków przez wyższe warstwy narodu, wziąć jakiegokolwiek prawie udziału. Po trzech wiekach spokojnego ich osiedlenia w kraju, przyszli najezdcy z nad Łaby, współplemienni wprawdzie, ale bądź co bądź obcy, i podbiwszy Polskę, założyli tu silne państwo, na którego formacyą nie mogli się zdobyć praojcowie naszych chłopów; z tych najezdców wytworzyła się późniejsza szlachta i rycerstwo włódcze. Jeszcze w kilka wieków później przyszło do Polski mieszczanstwo niemieckie.. Wszystkie zatem wyższe warstwy, z jakich się składa późniejsze nasze społeczeństwo, to elementy obce, napływowe. Inicytorowie naszego w ziemiach polskich zasiedlenia i pierwsi a jedyni przez pewien czas ziem tych zasiedleńcy, podbici i ujarzmieni przez zaborcze rycerstwo nadłabskie, pozbawieni częściowo wolności osobistej i innych praw przez najezdców, stanowią, jako przypisańcy, główny zasób ludności wieśniaczej, jaka już w najdawniejszych naszych źródłach występuje; jeszcze tylko stosunkowo nieliczni zakupni niewolnicy lub jeńcy wojenni, trzymeni po dworach pańskich lub osadzani po wsiach, pędzą gorszy od nich żywot; już zaś pośród tej samej ludności wieśniaczej stoją od nich wyżej owi wolni *hospites*, rzekomo z samych tylko przysiedleńców zakrajowych złożeni; bo i jakżeby ujarzmiony autochton mógł się

stać wolnym — chociażby chłopem? Zaprawdę, los pożałowania godny: zrodzić i urzeczywistnić wielką myśl dziejową, na to, ażeby inni wysnuli z niej wyłączne korzyści dla siebie! W czem autor zapatrywania swoje popiera wnioskami rozumowymi, zaczerpniętymi z swojej hipotezy, nad tem nie widzę powodu zastanawiać się tutaj bliżej, nie tylko ze względu na moje osobiste zapatrywanie, że hipoteza sama utrzymać się nie da, ale i dlatego, że jej dotąd w nauce naszej nie przyjęto, a owszem z wielu stron poważnie zaczepiono; nie można tedy na podstawie rzeczy, które same w sobie są co najmniej wątpliwe i niepewne, wnioskować o innych niewiadomych. Wolę raczej szukać i rozprawiać się z takimi argumentami w najnowszej pracy autora, które oparte na wyraźnych wiadomościach źródłowych, dotyczących organizacji ludności wieśniaczej, dałyby bezpośrednio lub przynajmniej pośrednio świadectwo prawdziwości jego hipotezie. Szukając z nimi, popadam w niemnąy kłopot, bo prawie że ich nie znajduję; więc, żeby mnie nie posądzono o stronnicze przemilczenie, wybieram dwa, pozornie tutaj należące, takie, które stosunkowo najsilniej zdawałyby się przemawiać za hipotezą.

Pierwszy ma znaczenie argumentu szczegółowego. Jest w źródłach naszych z XIII wieku wiązanka wiadomości o pewnej grupie ludności wieśniaczej, zwanej dziedzicami (*haeredes*). Pospolicie uważamy ją za szczątek pierwotnej ludności polskiej, której wolność osobista nie została jeszcze uszczuploną, i którzy pewne udziały w gruntach, dziedziny, posiadają na nieograniczoną własność. Takiego tłumaczenia autor przyjąć nie może, bo znaczyłoby to, że przecież pewna część ludności autochtonicznej pozostała przy swoich prastarych prawach, co stawałoby w sprzeczności z jego teorią najazdu i rzekomego ujarzżenia wszystkich tubylców. To, co nam źródła podają o dziedzicach, niezupełnie zgadza się ze sobą. Kilka dokumentów stwierdza, że kiedy ich pan wsi rugował z dziedzicami, płacił im za nie odszkodowanie, a nawet wiązany był ich przyzwoleniem rumacy; z kilku innych wynika, że takie usunięcie dokonywało się za jednostronną wolą pana, i to bez wynagrodzenia usuwanych dziedziców. Autor skwapliwie chwyta się tych ostatnich wiadomości i upatruje w nich niezbitý dowód na to, iż dziedzice nie są właścicielami gruntów, na których siedzą; tamtą zaś pierwszą kategorią wypadków tłumaczy poczuciem etycznym, niejako głosem sumienia po stronie niektórych panów, którzy nie chcieli ruszać starych zasiedleńców z ziemi, zasłużonych długą może pracą około jej sprawienia i użyźnienia, bez dania im pewnej majątkowej za to rekompensaty. Sądzę, że jeśli chodzi o wyjaśnienie zjawisk życia społecznego, przy których wchodzi w grę interesy materialne, należałoby, co do owych zwłaszcza, dość jeszcze surowych czasów, pozostawić etykę na uboczu przy rozwiązywaniu kwestyi naukowych. To, co z owych sprzecznych i w żaden sposób zgodzić się ze sobą niedających wiadomości, da się wysnuć jako pewnik naukowy, jest: że czas, z którego one pochodzą, należy do

okresu, który ma znaczenie przełomowe w historii dziedziców, że jedna grupa wiadomości musi być wyrazem i odzwierciedleniem starej, chylącej się już do upadku zasady, druga przejawem nowej, która do walki z tamtą wystąpiła, i grunt jej z pod nóg usuwała; obie widoczne w źródłach równoczesnych dlatego, że żadna już, albo jeszcze niepodzielnie nie panowała. Chodzi jeszcze tylko o określenie ich chronologii i kolejnego po sobie następstwa. Pod tym względem nie można mieć żadnych złudzeń ani wątpliwości. Ogólny prąd w rozwoju stosunków włościańskich aż do kolonizacji niemieckiej, cechuje się u nas, jeśli się oprzemy na wyraźnych tylko wskazówkach źródłowych, stopniowym pogarszaniem stanowiska prawnego ludności wieśniaczej, jak to zresztą sam autor z naciśkiem podnosi. Samowolne usuwanie dziedziców z ich gruntu przez panów, bez wynagrodzenia, jest zatem tą zasadą nową, która się dopiero wytwarzała poczyną, lub niedawno przedtem wytworzyła; ich prawo własności, wołą pana nie dające się usunąć, chyba za zgodą interesowanego i za wynagrodzeniem, teraz już częściowo zapoznawane, sięga początkiem swoim w dalszą przeszłość, a im dalej pójdziemy wstecz, tem bardziej będziemy je musieli uznać silnem i tem powszechniejszem, choć nam już o tem żadne źródła wyraźnych wskazówek nie podają. Jest zatem w pierwotnej Polsce, jeszcze nawet w czasach historycznych, wolny chłop-właściciel, nie przypisaniec, autochton, mimo rzekomego najazdu. Jakże tedy ów najazd mógł wszystkich autochtonów pozbawić wolności i własności, strącając ich na stanowisko przypisańców?

A otóż i drugi, ogólniejszej natury, walny i prawie że najważniejszy, wielokrotnie już przedtem i teraz znów na kilku miejscach powtórzony argument, główny filar całej hipotezy. »Jeżeli przeto — powiada autor — historycy nasi najnowszej szkoły twierdzą, że Polska wieków średnich jest rezultatem prawidłowego rozwoju szczepu, osiadłego w prawieku pomiędzy Wisłą a Odrą, Notecią a Karpatami, tedy muszą bezwarunkowo wykazać, że w ustroju Polski średniowiecznej znajduje się liczbą przeważna klasa ludzi wolnych, posiadająca dziedziny gruntowe, pochodzące z pierwotnego zawłaszczenia«. Przepraszam — nie muszą; przynajmniej co do tej Polski średniowiecznej, o której nam podają wiadomości dochowane po dziś dzień źródła. Autor ma zupełną racyą, twierdząc, że już w najstarszych naszych dokumentach z XII i XIII wieku ludność wieśniacza przypisana występuje w ilości przeważającej w stosunku do resztek ludności swobodnej, owych dziedziców, o których co dopiero mówiliśmy, czy choćby nawet innych wolnych, jakich częściowo dostarczali łazęgi (*hospites*). Gdyby autor mógł stanąć przed nami z podobnymi dokumentami z VII czy VIII wieku w rękę, wykazującymi takiż sam stan rzeczy, uwierzylibyśmy bez wahania jego teorii; tak nagły bowiem przewrót w stosunkach nie dałby się w ciągu krótkiego czasu wytłómaczyć prawidłową, powolną ewolucyą, i trzebaby w istocie przyjąć w tym wypadku jakiś jednorazowy, gwałtowny kataklizm społeczny w rodzaju najazdu, który je

od razu wyrócił i gruntownie przekształcił. Ale najwcześniejsze dowody autora sięgają tu dopiero stulecia XII. Między chwilą zasiedlenia Polski a granicą początkową jego — i naszych — wiadomości źródłowych upłynęło sześć wieków, przestrzeń czasu ogromna, wystarczająca na to, ażeby drogą chociażby nawet bardzo powolnych przemian i za pośrednictwem samych tylko elementów miejscowych, dokonały się najdalej, do gruntu sięgające przeobrażenia ustroju społecznego. Niechże autor nie wymaga od »historyków najnowszej szkoły«, ażeby mu z źródłami w ręku wykazali poszczególne stadya prawidłowej ewolucyi w tym czasie, skoro tych źródeł niema, jak i on ich nie posiada dla poparcia swojej hipotezy; i jeśli mniema, że wolno mu w ten okres włożyć niepoświadczony nigdzie fakt najazdu, to niech im także przyzna prawo zapelnąć go prawidłową, powolną ewolucją gospodarczą i społeczną. To, co z naszych najwcześniejszych, choć dla całego tego okresu bardzo późnych źródeł bezpośrednio wynika, jest w dochodzeniu niniejszej kwestyi obojętnem. Ażeby przypomnieć, jak wiele w ciągu takiego czasu zmienić się może, prosimy go, aby rozważył dzieje Polski z najbliższego potem sześciusetlecia, od wieku XII do końca niemal istnienia Rzpltej. W zaraniu tej epoki była jeszcze silna władza książęca Krzywoustego, Włodzisława II, nawet jeszcze Mieszka Staro- go; w środku próba częściowej jej restytucyi pod ostatnimi królami Piastami, nawet jeszcze pod Kazimierzem Jagiellończykiem, pod koniec zupełny jej upadek i rozluźnienie. Z początku ledwo wydobywające się na jaw, wśród sporów o pryncypat krakowski, zaczenie możnowładztwa i zupełna niemal polityczna nicość pospolitego rycerstwa-szlachty, przy końcu oligarchia wielmożów i nadmierna w rzeczach państwowych przewaga szlacheckiego tłumu. W pierwszych wiekach po rozpoczęciu kolonizacyi niemieckiej silna autonomia miejska, szerokie prawa mieszczaństwa, znaczny rozwój przemysłu i handlu; przy końcu cień autonomii miast, zupełna ich podwładność starostom, brak wszelkiego politycznego wpływu, zastój i upadek przemysłu i handlu. Wszystko to zmiany pierwsorzędnej doniosłości, bardzo głęboko sięgające w organizm polityczny i społeczny; wszystkie dokonane w takim samym przeciągu czasu, przez powolny, stopniowy rozwój stosunków, wszystkie — bez kaktlizmu. Cokolwiek chcielibyśmy tu odliczyć na przyspieszone tętno rozwoju w wiekach późniejszych, przyznamy, że i dla owych stuleci dawniejszych przyjąć trzeba także pewien rozwój, który w tak ogromnej przestrzeni czasu, choćby był najpowolniejszym, mógł pierwotne stosunki zmienić bardzo gruntownie; dobrze, że do wieku XII i XIII dochowały się jeszcze resztki prastarych urządzeń, jak ślady współwłasności rodowej, wiejscy starostowie rodowi, opola, wolni dziedzice jako właściciele gruntów i t. p. — bo i te miały już dość czasu zaginać, zanim się poczęły pierwsze, dochowane po dziś dzień źródła nasze historyczne. Wiek VI do XII ma i musiał mieć swoją historią, i niema podstawy do przypuszczenia, że wszystko przez sześć stuleci byłoby musiało stać na jednym miejscu,



gdyby nie był nastąpił najazd; zatem najazd nie jest jedynym kluczem do wytlómaczenia tych przeobrażeń w stosunku do urzędzeń prawieku, z jakimi spotykamy się w źródłach z XII i XIII stulecia. Hypoteza prawidłowej, powolnej ewolucji ma co najmniej takie samo wewnętrzne prawdopodobieństwo i naukową wartość, jak hipoteza najazdu, a historycy, którzy ją uznają, nie muszą bezwarunkowo wykazywać, żeby jeszcze w w. XII i XIII istnieć musiała przeważna ilość wolnej ludności włościańskiej, właścicieli drobnych gruntów. Przed hipotezą autora ma ona to pierwszeństwo, że jest prostszą i naturalniejszą, i że się powołać może na bardzo wymowne analogie.

Jak sobie ową ewolucją powolną wyobrazić w szczegółach, nie tutaj miejsce wywodzić; znaczyłoby to rozwijać nową hipotezę, której uzasadnienie wymagałoby gruntownego rozbioru całego szeregu pozytywnych wiadomości źródłowych, jako podstawy do wysnucia wniosków wstecznych. Może mi kiedyś będzie danem zabrać głos i w tej sprawie. Ogólne szlaki rozwoju można już jednak naskikować i teraz, bez uroszczenia, jak się samo przez się rozumie, żeby uchodzić miały za jedynie możliwe lub niewzruszalne. Więc naprzód: upadek starożytnej wspólnej własności rodowej, i wynikające stąd jej indywidualizowanie się, które w następstwie prowadzi do znacznych różnic majątkowych, przez powodzenie zabiegów gospodarczych u jednych, przez nieopatrność, przypadkowe klęski, rozrodzenie się rodziny i wynikające stąd działy spadkowe u drugich. Następnie: naturalna dążność rozszerzenia swych gospodarstw przez owe jednostki ekonomicznie silniejsze, zrazu może tylko przez ludność niewolną, zakupną i wojenną, później, stopniowo, także przez owe jednostki uboższe, ekonomicznie słabsze, które u tamtych potężniejszych szukały oparcia, i przez to w stosunek zawisłości do nich przechodziły. Dalej: stopniowe ograniczanie praw owej ludności zależnej przez potężniejących coraz bardziej panów, które doprowadza do zaprzeczenia ich własności gruntowej i ścieśnienia wolności osobistej, jednym słowem do przejścia w stan przypisańców. Wreszcie: także same dążenia po stronie książąt, tak samo, a raczej w zakresie bez porównania szerszym, wielkich właścicieli gruntowych, którzy nadto, ukrzepiając swoją władzę książęcą, nie samym tylko najazdem wytlómaczyć się dającą, pociągają owe masy ekonomicznie słabych i pod względem prywatno-prawnym znacznie ograniczonych jednostek, do świadczeń i usług na cele państwowe. Omówiona poprzednio szczegółowo ewolucja co do własności gruntowej dziedziców, przedstawia, jeszcze w wieku XIII, przykład na żywym ciele, jak przez samowolną akcją silniejszych wobec słabszych, upadać mogą dawne prawa i tworzyć się nowe ograniczenia. Ale stąd nie wynika bynajmniej, że ci silniejsi, to obcy, najezdcy. Nasz włodyka średniowieczny, nasz szlachcic wioskowy lub pan z senatorskiego krzesła, właściciel wielkich posiadłości, gdyby mógł zestawić genealogią swego rodu aż do prawieku, znaleźć może pierwszego przodka tak dobrze w Dalechowicach lub

Gorzycach, Cierpiętach lub Biesiekierach, w Niecieczy lub Niwce, siedzącego zrazu na wspólnym gruncie i razem pracującego przy jego uprawie z przodkiem dzisiejszego Macieja lub Wojciecha z pod Krzeszowie lub Przegini, którego pradziadom los odmówił wywyższenia, i kazał mu tak samo w pocie czoła sprawić dzisiaj małą dziedzinę gruntową, jak ją przed trzynastu wiekami sprawiał jego praszczur; chyba, że ów Maciej lub Wojciech, to przypadkiem potomek niemieckiego kolonisty z XIII lub XIV wieku, w tym razie rzeczywiście obcy, niekrewniak pierwszych zasiedleńców. Kto w tej filiacji genealogicznej nie znajdzie upodobania, i oświadczy się za hipotezą najazdu, nie uczyni zaprawdę lepszego wyboru; bo i owo najezdze rycerstwo prof. Piekosińskiego, wraz z wszystkimi dynastami, którzy stali rzekomo na jego czele, musielibyśmy ostatecznie wyprowadzić od pierwotnych słowiańskich zasiedleńców nadłabskich, spośród których częścią skutkiem podobnego rozwoju wyniosła się tam ponad przeważną masę swoich krewniaków, spadłych do rzędu ludności wieśniaczej. Zamiast pierwotnego pokrewieństwa z Maciejem lub Wojciechem mielibyśmy zatem tylko także samo pokrewieństwo z zniemczonym dziś Seppem, Michlem lub Hansem z pod Rostoku lub Wismaru. Tam go szukać nie mamy powodów, a owszem, wolimy przyjąć, że ci, którzy w wieku VI zajęli dla nas Polskę, i pierwsi ją zasiedlili, którzy ją, jednym słowem stworzyli, to nie tylko »przodkowie naszych chłopów«, ale naprawdę »przodkowie nasi«.

Podobnie, niemal dosłownie, powtarza się wszystko w Czechach. I tam w VI wieku przybyli i osiedlili się Słowianie, niezróżnicowani zrazu społecznie, wolni i równi między sobą. Już jednak z najstarszych źródeł czeskich, które o stosunkach społecznych bliższą podają wiadomość, choćbyśmy tu zaczęli tylko od dokumentów z wieku XI, a więc po upływie czasu o jedno stulecie krótszego, niż w Polsce, przeziara bardzo widocznie ścisły rozłam społeczeństwa na szereg odrębnych klas, w części uprzywilejowanych, w części prawnie upośledzonych; wszystkie niemal występują pod temi samemi nazwami, co i w Polsce. Jest szlachta (*šlechta*), wyższa (*pany*) i niższa, zwana włodykami (*vľadyki*), są nieznaczne resztki zanikającej już warstwy wolnych chłopów, właścicieli gruntowych, zwanych również dziedzicami (*dědici, dědinnici*), jest wreszcie prócz ludności niewolnej, ogromna, przeważająca ilość chłopów-przypisańców. Tych chłopów-przypisańców musimy wyprowadzić koniecznie z pierwotnych zasiedleńców w wieku VI, jak ich także w Polsce słusznie wyprowadza autor, a przecież w nauce czeskiej czy jakiegokolwiek innej nikt ich genezy, ich prawnego upośledzenia, nie tłumaczy hipotezą najazdu, dokonanego przez jakieś obce, choćby pokrewne plemię, ani też w ten sposób tłumaczyć ich nie może; na szczęście bowiem historyczne wzmianki o dziejach Czech w prawie wieku są dość wystarczające, ażeby taką hipotezę, gdyby ją kto miał ochotę postawić, zaliczyć od razu do »złudzeń czuwających«. Nikt więc tam nie woła, że trzeba bezwarunkowo wykazać w Cze-

chach z XI i XII wieku »liczbą przeważną klasę ludzi wolnych, posiadających dziedziny gruntowe, pochodzące z pierwotnego za-właszczenia«, bo nie znalazłby się tam żaden historyk, któryby się tego dowodu podjąć mógł; ale z pewnością jeszcze trudniej byłoby o takiego, któryby chciał postawić, tem mniej zaś udowodniać lub uprawdopodobniać — hipotezę najazdu. Wszyscy, choć co do szczegó-łów rozchodzą się nieraz daleko, godzą się w zasadzie jedno-myslnie na to, że geneza państwa i społeczeństwa czeskiego, jak się nam one przedstawiają w pierwszych, dokładniej przez historią poświadczonych czasach, jest wynikiem powolnej, prawidłowej ewo-lucyi w prawięku. Nie sprawia im tu nawet kłopotu stary Kozma, który spisując w swej Kronice podanie ludowe o początku dynastji Przemysłowców, przez usta Libuszy w następujących słowach przed-stawia zakres i pełnię władzy książęcej: *Vos et omnia vestra erunt in eius potestate. Huius in conspectu vestra febricitabunt genua et muta sicco palato adherebit lingua. Ad cuius vocem pre nimio pa-vore vix respondebitis: ita domine, ita domine, cum ipse solo suo nutu sine vestro preiudicio hunc dampnabit et hunc obruncabit; istum in carcerem mitti, illum precipiet in patibulo suspendi. Vos ipsos, et ex vobis, quos sibi libet, alios servos, alios rusticos, alios tributarios, alios exactores, alios tortores, alios precones, alios co-cos seu pistores aut molendinarios faciet. Constituet eciam sibi tri-bunos, centuriones, villicos, cultores vinearum simul et agrorum, messoros segetum, fabros armorum, sutores pellium diversarum et coriorum. Filios vestros et filias in obsequiis suis ponet; de bu-bus eciam et equis sive equabus seu pecoribus vestris optima que-que ad suum palacium tollet. Omnia vestra, que sunt pociora, in villis, in campis, in agris, in pratis, in vineis auferet et in usus suos rediget.* (Emler, Font. rer. Bohem. II, 11). Więć: książę czeski może wobec swojej ludności postępować jak chce, może nakładać na nią najcięższe kary arbitralne, jednych zamienić w czynszowni-ków, innych w chłopów (przypisańców), innych w niewolników; może im polecić wykonywanie jakichkolwiek służb narokowych, ich synów i córki zabrać na dwór do służby przybocznej, może ich poddać pod nadzór swoich włodarzów; może z dobytku ich w bydle wybierać najlepsze daniny, zabierać grunt orny, winnice i łąki dla siebie, wszystko według własnego uznania, w sposobie i zakresie, jakie mu się wydadzą stosowne. Co tu Kozma o trady-cyjnym założycielu dynastji podał, należy oczywiście w zasadniczych szczegółach odnieść do współczesnych mu władców czeskich, wiadomo bowiem, że w wiekach średnich zapatrywania kronikarzy na urzą-dzenia czasów dawniejszych wzorowały się na stosunkach, wśród których żyli. Tak się więc mówi o tamtejszych książętach, którzy ani zdobywcami nie byli sami, ani od zdobywców nie pochodzili, którzy są krwią z krwi i kością z kości narodu czeskiego! Gdyby podobne słowa znalazły się w Gallu o którymkolwiek z Piastów, wątpię czy zwolennicy teoryi najazdu oparliby się pokusie, ażeby się w nich nie dopatrzeć wymownej charakterystyki księcia-podbójcy,

który na zasadzie prawa wojennego strąca w przepaść nicości prawnej i gospodarczej ujarzmioną ludność autochtoniczną, tak, że mielibyśmy w tem nowe działo ciężkiego kalibru, zatoczone na mury fortecy, w której się obwarowała hipoteza. A przecież — nawet mimo takiej wzmianki — niema nikogo, ktoby dla Czech postawił hipotezę najazdu. I dlaczego my koniecznie w naszych Popielowcach i Piastach, wraz z ich drużynami rycerskimi, mamy upornie szukać znormanizowanych zaborców słowiańskich, którzy, jeśli uciskali i prawnie ograniczali ludność wieśniaczą, to nie dlatego, żeby ją podbić mieli, jeno dlatego, że byli silniejszymi wobec słabszych — według ogólnego prawidła psychologii społecznej.

Wyczerpałem zasób najważniejszych kwestyj zasadniczych, które ze względu na wywody autora, w niniejszej pracy zawarte, wydawało mi się potrzebną rzeczą omówić. Gdybym chciał dać krytykę wyczerpującą i szczegółową, miałbym jeszcze sporo pytań do omówienia, a zapewne i niejedną sposobność do polemiki. Proszą się o nią n. p. twierdzenie, że o służbie wojennej w dobie żupańskiej (przed rzekomym najazdem) nie mogło być mowy, gdyż nie było podówczas sposobności prowadzenia wojny z kimkolwiek, albo n. p. inne, na zbytnej wobec Długosza ufności oparte, jakoby Ryksa, wdowa po Mieszku II, albo Krystyna, żona Włodzisława II, obie oczywiście potępienia godne Niemki, zaprowadziły w Polsce jakieś nowe, ciężkie daniny ludności wieśniaczej. Widzę jednak, że i tak już przekroczyłem znacznie ramy, zakreślone mojemu artykułowi, i dlatego nie chcę już więcej zabierać tu miejsca dla siebie. Pragnę tylko jeszcze znaleźć miejsce na to, ażeby stwierdzić, nie dla okraszy polemiki, jeno z całego wewnętrznego przekonania, że mimo wszystkie różnice zapatrywań, uważam pracę prof. Piekosińskiego za bardzo ważny i doniosły nabytek najnowszej naszej literatury historyczno-prawniczej. Ważny naprzód przez to, że jest pierwszą próbą wyczerpującego i wszechstronnego opracowania pierwotnej historii włościństwa polskiego; że nawet w tych kwestiach, o które się sprzeczać wypadło, rzuca wielokrotnie zarówno bystre, jak głębokie i trafne spostrzeżenia i uwagi, oświetlające czasem od razu całą sprawę, jak to mieliśmy sposobność stwierdzić kilkakrotnie w poprzednich uwagach. Ile nadto, prócz tamtych, rzeczy nowych, tak jasno wyświetlonych i przekonywująco udowodnionych, że je od razu na kartę stanu czynnego naszej nauki zapisać można! Bardzo pouczające są zestawienia, dotyczące jurysdykcyi nad ludnością wieśniaczą, opatrzone szeregiem trafnych komentarzy. Niemniej też zasługują na wdzięczne uznanie podobne zestawienia źródłowe w przedmiocie ciężarów i powinności chłopskich, dokładniejsze, bo już i na późniejszych wydawnictwach oparte, aniżeli ostatnie przed niemi, cenne zresztą zestawienia Smolki w dodatkach do jego dzieła o Mieszku Starym. Większą jeszcze zasługę zaskarbił sobie autor przez to, że po raz pierwszy postawił tu i przez rozbiór znacznego zasobu źródeł bliżej przeprowadził myśl, jako w badaniu pierwotnego systemu ciężarów prawa książęcego nie należy się kierować

wyłącznie tylko odmiennością nomenklatur, jak wiadomo bardzo licznych, pod którymi ciężary te w dyplomatach występują; wywody jego okazują, że jedna i ta sama danina lub powinność nosi w miarę okoliczności rozmaite nazwy. O niektóre szczegóły chciałbym się tu posprzeczać z autorem; ogólnie biorąc uważam jednak myśl tę za bardzo trafną i szczęśliwą, zapowiadającą ważne wyniki naukowe; przyczyni się ona do uproszczenia naszego poglądu na system ciężarów prawa książęcego, jako też do pogłębienia jego istoty i charakteru. Wprost znakomitym nazwać muszę ustęp o najstarszych miarach ziemi w Polsce, ich stosunku do radła słowiańskiego u Połabian, jako też o kolejnym miar tych chronologicznem następstwie. Oto kilka tylko przykładów tego, co zawdzięczamy pracy prof. Piekosińskiego. A ileż tam jeszcze innych nowych myśli, nowych kwestyj, bodaj z lekka przez autora poruszonych! Mamy nadzieję, że jego wytrawne i tyle zasłużone pióro niejedną jeszcze z pośród nich gruntownie nam rozwiąże, i z szczerego serca życzymy tego zarówno jemu jak i naszej nauce; jeśli by zaś to lub owo przypało do rozwiązania nam młodszym, będziemy zawsze pamiętali o tem, komu tu pierwsza należy się zasługa; jak wiemy i pamiętamy, jak wielką pod tym względem jest już zasługa całego szeregu jego prac dawniejszych. Prócz tego, co nam one przyniosły w obfitej mierze w gotowych już i niewątpliwych rezultatach naukowych, przyczyniły się one, nawet w tych twierdzeniach, o które trzeba było spór prowadzić, do gruntownego wyjaśnienia wielu zjawisk średniowiecznych naszych urządzeń, na które poprzednio nie umieliśmy nawet zwrócić uwagi.



Z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich  
pod zarządkiem Juliusza Birkenmaiera.

S. 61














POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

  
L. Inw. 42117

Kdn. Zam. 480/55 20.000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297856